

**WŁADYSŁAW  
ŁOZIŃSKI**

OKO PROROKA

Władysław Łoziński

**Oko proroka**

«Public Domain»

**Łoziński W.**

Oko proroka / W. Łoziński — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

## Содержание

I. Mój ojciec wyjeżdża do Turek1	5
II. Kozak Semen	11
III. Tajemnica kozacka	17
IV. Idę w świat	24
V. Przygoda z Tatarami	31
Конец ознакомительного фрагмента.	38

# Władysław Łoziński

## Oko proroka

### I. Mój ojciec wyjeżdża do Turek<sup>1</sup>

Było święto Trzech Królów. Ojciec mój ubrał się od święta, przywdział kopieniak<sup>2</sup> podbity lisami, bo mróz był mocny, a nim się jeszcze matka zebrała, aby z nim pójść do kościoła, wziął z półki kredę święconą, wyszedł z izby na dwór i nad drzwiami kowanymi, na ocapie<sup>3</sup>, wypisał ciężką ręką, bardzo dużymi a nie bardzo foremnymi literami<sup>4</sup>:

K + M + B/ 1614

Owoż ten tu wypisany rok Zbawienia Pańskiego 1614 to jest najdawniejszy czas żywota mego, jaki zapamiętałem. A miałem tego czasu rok szósty. Jako zaś potem się działo i co ze mną było i z rodzicami, i co Bóg dawał złego i dobrego, to mi to już tak w pamięci się chowa, jakoby w zamczystej skrzyni, gdzie wszystko bezpiecznie leży, że kiedy i po mnogich lecicach<sup>5</sup> odewrzesz<sup>6</sup>, wszystko znajdziesz, jako było. Jeno że to wszystko było jeszcze jakoby w samym oku, a nie w rozumie; aż dopiero, kiedy rozum z laty przyszedł, to zaczął czytać w pamięci jak w księdze, co już dawno drukowana była, nimeś ty czytać się nauczył.

Ta wieś, gdzie moi rodzice żyli i gdzie się ja rodził, nazywa się Podborze, a leży przy samym trakcie głównym, który wiedzie w rozmaite dalekie strony i kraje bożego świata, boś nim jechał i do Węgier na Sambor, i do Wołoszy na Stryj, i do Krakowa na Felsztyn i Przemyśl, a także do Lwowa i dalej, na Ukrainę albo do Turek nawet. Piszę się ta wieś na Ziemię Przemyską, a na ekonomię samborską; należy do królewszczyzny<sup>7</sup> i nie ma dziedzica, a siedział w niej za moich najmłodszych lat podstarości, a raczej wiernik tylko pana wojewody Jerzego Mniszcha, a podstarościm to go tylko zwano, bo tak chciał i kazał, wydając się z pychy za zaniejszą osobę, niżeli był po prawdzie.

Ojciec mój nie był poddanym chłopem, bo siedział na sołtystwie<sup>8</sup>. Ale i sołtysem też nie był takim, jako bywają inni, bo ani ludzi nie sądził, ani czynszów i danin królewskich nie wybierał, ani na wojnę nie chadzał i pachołka w pole nie stawiał. Ale grunt ojca mojego, półtora łana niespełna, to było kiedyś sołtystwo dawniejszymi czasy, a teraz już tylko wolnictwo<sup>9</sup>, a ojciec wziął te grunta w macierzystym spadku i miał wolność na nich, tak jakby był szlachcicem, tylko do ekonomii samborskiej płacił czynszu i żyrowszczyzny 20 złotych, a na św. Marcin i na św. Wojciech po równej połowie. Gdyby bezpiecznie siedział na tym wolnictwie, byłoby mu dobrze, bo chleba ono dać mogło dostatek – ale cóż, kiedy mu przeciono prawa posesji i ruszyć go z niego chciano koniecznie, jako się o tym później powie.

Gospodarstwem na roli to się mój ojciec nie bardzo parał, jeno matka, jako że go mało było w domu, bo był dostatkowym furmanem i kupieckim rozwoźnikiem, i co roku przez kilka miesięcy był w drodze. Wyuczył się wprawdzie mój ojciec ciesielskiego rzemiosła, ale że ciesielka nie

<sup>1</sup> do Turek (daw.) – do Turcji. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> kopieniak (daw., z węg. *köpenyeg*) – peleryna, płaszcz bez rękawów. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> ocap – nadproże, belka nad drzwiami lub oknem. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> foremnymi literami – dziś popr. forma N. Im: foremnymi literami. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> po lecicach – dziś popr. forma Msc. Im: po latach. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> odewrzeć (daw.) – otworzyć. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> królewszczyzna – własność ziemską należąca w średniowieczu do króla, a od XVI w. do skarbu państwowego. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> sołtystwo a. *sołectwo* (z niem. *Schultheiss*: wiejski sędzia) – w daw. Polsce urząd sołtysa, zwierzchnika osadników nowo zakładanej wsi. Sołtys zarządzał pracą gromady, a w razie konfliktów przewodniczył sądom. Sołtystwo było dziedziczne. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> wolnictwo – nadanie ziemskie, wiążące się z wolnością od obowiązków poddaństwa. [przypis edytorski]

dawała mu dosyć zarobku, a do furmaństwa go bardzo ciągnęło, tedy ciesielkę całe był zarzucił. Już dziad mój był furmanem solnym, jako to zowią u nas prasołem; bo tu wszędy około w samborskiej i drohobyckiej krainie żupa na żupie: i w Starej Soli, i w Lacku, i w Drohobyczu, i w Truskawcu, Modryczu, Stebniku i w Kotowie, a zewsząd kwotnicy<sup>10</sup> wysyłają beczkami sól na końce świata, aż do Kijowa, na daleką Ukrainę, hen aż po Dzikie Pola, bo chleba zbytek, ale soli nic, choćby na zaproszenie oka.

Furmańskie rzemiosło przeszło tak z dziadka na mego ojca, tylko że ojciec nie woził już soli, ale wzięwszy nieco grosza po dziadku, zabrał się do furmanki kupieckiej. To był sowity zarobek, ale ciężki; rzemiosło zyskowne, ale niebezpieczne, a czasem i bardzo stratne, jeśli tego nieszczęście chciało. Boś jechał jak na wojnę i chyba to Bóg miłosierny wiedział, kiedy wrócisz, i czy żyw i cały wrócisz, i w jakiej fortunie na swoim domowym progu staniesz. Wyjechać możesz pięknym kowanym wozem w cztery konie, opasany pełnym trzosem, a powrócić pieszo i boso, o proszonym chlebie, z gołym jeno biczyskiem w rękę za cały dorobek i rad tylko, żeś głowę przyniósł. Wszędy drogi niebezpieczne, wszędy siła opryszków i hultajów, łakomych na grosz kupiecki i bogaty towar; już jak do Wołoszy czy do Węgier z towarem jedziesz lub stamtąd wracasz, strachu i biedy najesz się często do syta, a cóż rzec wtedy, kiedy droga wiedzie aż do Turek, w pogańskie strony, szlakiem tatarskim?

Owoż wiedzieć macie, że ojciec mój właśnie aż do Turek furmanił, a tak tedy w samą paszczę zbójceją. Miał ojciec mój u Ormian lwowskich wielką łaskę i zachowanie, bo był wierny, trzeźwy i śmiałego serca, a Ormianie wielkie handle prowadzą z tureckimi krajami, wywożą tam moc złota i kosztownego towaru, a stamtąd do Polski wracają z jeszcze większymi skarbami w bławatach, złotogłowiach, korzeniach zamorskich, a nierzadko i w perłach, koralach i kamieniach takich drogich, że i korona królewska by się ich nie powstydziała, a za jeden taki kamyk i pańskie dziedzictwo kupić można. Dwa razy mój ojciec był aż w Stambule samym, stolicy Turków, gdzie sam ich cesarz czyli sułtan siedzi, oba razy szczęśliwie i z dużym zarobkiem wrócił, ale zarzekał się, że już trzeci raz nie pojedzie. Tymczasem pojechał, bo musiał, a to przez to właśnie softystwo, z którego niecnotliwi ludzie wyścigać go chcieli.

Ojciec był prawowitym posesorem tego wolnictwa, bo było dziedziczne, ale że nie po męskiej głowie poszło na ojca, jeno po białogłowskiej, więc ów nasz podstarości podborecki, o którym już wspominałem, p. Bałczyński, koniecznie je chciał ojcu wydrzeć, jeśli się nie okupi. Na zamku ojca nigdy o to nie turbowano, byle czynsz w ekonomii samborskiej zapłacił, a sam pan wojewoda Mniszech<sup>11</sup> jeszcze nieboszczykowi dziadkowi mawiał, jako może być całe bezpieczny o swoje posiadanie. Ale od czasu, kiedy pan wojewoda wydał córkę swoją za owego cara moskiewskiego Dymitra, co z państw swoich gołe życie unosząc o Sambor się był oparł, i wraz z nim do Moskwy z wojskami się wyprawił, aby go na carskim tronie osadzić, już na zamku inne rządy nastąpiły. Po roku 1611 nastąpił p. starosta Daniłowicz, a jakoś w cztery lata znowu p. Samuel Koniecpolski – i do tego czasu p. Bałczyński coraz to ostrzej naścigał, ojca mego nękał, rumacją<sup>12</sup> groził, tak że ojciec i prosić się, i opłacać musiał, a tylko pomocy Bożej i ludzkiej czekał.

Zdało się też, że mu ta pomoc przysła, i to potężna, bo owo kiedy Król Jegomość, panujący wtedy szczęśliwie w Polsce Zygmunt<sup>13</sup>, w roku 1621 do Lwowa za wojskiem jechał, ojcu memu, że miał wóz duży dostatkowy i cztery konie rosłe i mocne, kazano z zamku stawić się w Gródku do podwód królewskich za opuszczeniem czynszu. Z niemałym strachem ojciec jechał, bo to był czas wielkiego ciągnięcia na wojnę turecką, bał się tedy bardzo, aby go z chudobą gdzieś aż do obozu nie wleczono, albo do wzięcia armat ze Lwowa nie wzięto. Ale kiedy musiał, tedy, acz z płaczem, pojechał. Tak się zdarzyło, że na bardzo złej drodze po wielkich dżdżach jesiennych, bo to było

<sup>10</sup> *kwotnik* – pisarz, prowadzący rejestry sprzedaży soli. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *Jerzy Mniszech* (ok. 1548–1613) – wojewoda sandomierski. Wspierał zbrojnie i finansowo Dymitra Samozwańca w jego staraniach o tron moskiewski. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *rumacja* (z łac.) – przymusowe usunięcie z posiadłości, eksmisja. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *Zygmunt III Waza* (1566–1632) – król Polski w latach 1587–1632. [przypis edytorski]

jakoś pod dobrą jesień, kolasa królewska za wsią Zalesie, niedaleko Janowa, ugrzęzła w trzęsawisku. Woźnica królewski siłą mocą chciał się wydobyć, śmignął batem zanadto; konie ogniste jako lwy, a było ich sześć w zaprzęgu, kiedy się nie zepną i nie wyskoczą jak szalone, tak owo jednej chwili zrobił się z tego wszystkiego jakoby tylko jeden kłęb poplątany i okrutna trzaskająca wierzganina, że aż woda z trzęsawiska bryznęła do góry jakoby z sikawek; forysi<sup>14</sup> pospadali z siodeł, lejce się porwały, orczyki potrzaskały, rzemienie poplątały, że ani weź, ani przystap. Kolasa królewska bardzo się przechyliła; tylko patrzeć, kiedy się całe wyrwóci; sam Król Jegomość na szwankowanie zdrowia narażon.

Było przy królu dużo ludzi, dworzan, dragonii, szlachty, a wszystko to konno jechało; jak się tedy zwali gęstą kupą na ratunek, to jeszcze gorzej, bo ten chwyta za to, ten za owo, ten szarpie tędy, ten owędy, ten sobie krzyczy, a ten sobie – owo hałas, trzask, zamieszanie, że chyba siekiera się przerąbiesz do kolasy. Tak się zdarzyło, że wozy dworskie, co szły przed królem, odsadziły się daleko naprzód, a z wozów skarbnych, co jechały z tyłu, ojcowski był najbliższy. Przybieżał tedy ojciec mój już z samej ciekawości, widzi, jako jeden z dragonów, co posiadali z koni, aby zaprzęg znowu przywrócić do ładu, padł jak nieżywy od kopyta, a drugi nieboraczek pod kołami jeno dysze; nie namyślając się zatem długo, zuchwałym sercem skacze ojciec między konie, podsadza się pod cug dyszlowy i nożem wielkim krakowskim, co go także tulichem zowią, rzeze postronki i rzemienie. Ledwo się z życiem wybiegał i bez szwanku ojciec mój z tej niebezpiecznej roboty – ale teraz to już z łatwością rozplątano konie. Kolasa została w miejscu, a konie, zhukane i znarowione, a który i skałeczony, rzuciły się strzałą w pole. Wysadził się naprzód ku wozom skarbnym jeden starszy dworzanin i woła:

– Masz tam który dobre konie?

Ojciec mój podbiegł do swojego wozu i mówi:

– Mam, panie.

– Dawaj sam, a duchem!

Ojciec w mig wyprzągł swoje konie i kazano mu je założyć do kolasy królewskiej. Mówił potem ojciec matce, jako go strach wielki ogarnął, kiedy pomyślał, że nuż nie wywlecze kolasy królewskiej z trzęsawiska, a tak i wstyd, a może i co gorszego go spotka. Polecił się tylko Najśw. Pannie i św. Jerzemu, co jest niebieskim patronem furmanów, popatrzył tak miłosiernie na swoje szkapy, jakżeby je prosił, aby go w tym ciężkim terminie nie opuszczały, a potem biorąc się cały jakby w kupę, nie bacząc już na nic, ani nawet na majestat królewski, jak nie trzaśnie z biczem, jak nie huknie z całej mocy: „Au! Aju! Hyj!!!”, a konie, jakżeby zrozumiały, że tu idzie o dobrego pana i o własny ich honor, jak się nie wypną gdyby pałaki, jak się nie wysadzą całe garbate, jak nie szarpną z miejsca – i oto kolasa królewska już na twardej drodze i jeno wio! dalej!

Tak podwiózł ojciec króla do Janowa, a niedaleko już było do tej stacji, i tu dwór zatrzymał się. Kiedy ojciec koniska udręczone wyprzągł, aby wracać po swój wóz, co został w tyle na drodze, każą mu do króla. Stanął ojciec truchlejący przed majestatem pańskim po raz pierwszy w życiu, a i po raz ostatni, a oczu nawet podnieść się nie ważył na oblicze królewskie. Mówi król Zygmunt:

– A jako się zowiesz?

– Marek Bystry, Miłościwy Królu!

– Wierę, Bystry – król na to – boś też i chłop bystry. A skąd ty?

– Z Podborza, z ekonomii samborskiej, Miłościwy Panie.

– Tedy z Rusi, a mówisz dobrze po polsku.

– Bom ja jest Polak i łaciński.

A trzeba wam wiedzieć, że wśród Rusi samborskiej jest dużo osad jakoby mazurskich, to w całych osobnych gromadach, to z Rusią pomieszanych: Powtórnia, Powodowa, Strzałkowiec, Biskowice, Radłowiec i tak dalej, które to osady, jako ludzie opowiadają, jeszcze ongi dawnymi laty

---

<sup>14</sup> forys (z niem. *Vorreiter*) – pacholek jadący konno przed kareta albo na jednym z koni zaprzęgowych. [przypis edytorski]

stara królowa, co się Bona zwała, pono znad Wisły tu na Ruś sprowadziła po wielkim powietrzu<sup>15</sup>, kiedy Ruś miejscami całkiem wymarła; to i ojciec mój z takiej osady pochodził.

– Masz tobie, Bystry; jedźże z Bogiem – rzecze dalej król i rzuca ojcu do czapki czerwony złoty ze swoim wizerunkiem.

Łaskawość Króla Jegomości dodała ojcu serca; powiadał potem, że mu się tej chwili przypomniało owo mądre przysłowie: „Chwytaj okazję z przodu, bo z tyłu łysa”. Jak tedy stał, tak padł plackiem pod stopy króla, wołając:

– Najmiłościwszy Królu! Błagam ja pokornie miłosierdzia Waszego, biedny pacholek!

Król wstać mu kazał i pytał, czego by chciał? Ojciec jednakowoż nie wstał; tylko w klęczki się podniósł i tak klęczący suplikować zaczął o konfirmacją<sup>16</sup> na sołtystwo, którego mu źli ludzie przeczą, a w żebraka obrócić by go radzi.

Król słuchał chwilę cierpliwie, a potem, wskazując na jednego z dworzan swoich, rzekł:

– Opowiedz to temu. – I uśmiechając się dodał: – Słyszcie, Solski! Miejcie tam na baczeniu, co za sprawę ma ten człowiek, bo to przecież jest nasz furman królewski, *auriga regius*.

Stanąwszy we Lwowie, ojciec mój przypomniał się pokornie p. Solskiemu, któremu król prośbę jego porучzył, a ten go znowu odesłał do innego, a ten inny do drugiego, a ten drugi do trzeciego, i tak go posyłali od Annasza do Kajfasza, aż nareszcie podpisem<sup>17</sup> kanclerski zapisał sobie, o co rzecz chodzi, i rzekł ojcu:

– Jedź ty, człeku pocziwy, do domu, przyjdzie tobie dekret królewski na grunt; wyprawi się pisanie do zamku w Samborze.

Rad nierad, ojciec na tej obietnicy poprzestać musiał, bo gdzież to ubogiemu chłopu niebodze napychać się takim panom, przez drabanty<sup>18</sup>, pokojowce, pajuki<sup>19</sup>, łokciami się przeszturchiwać, a to jeszcze i w bardzo niesposobnym czasie, kiedy wszyscy mieli nabite głowy wojennymi sprawami, bo właśnie królewicz naonczas, Władysław<sup>20</sup>, a dziś miłościwy nasz monarcha, wojował Turków, i kto żyw był we Lwowie, tylko o tej wojnie mówił i o nią się frasował. A też i niebezpieczno bawić się było we Lwowie – raczej uciekaj, człeczko, bo ci do Chocimia z armaty<sup>21</sup> każą. Ale przecież ojciec mój wrócił wesół i dobrej myśli do domu, a moc ciekawości matce i mnie opowiadał o królu, chwalił się przed sąsiady i przed podstarościm, i przed wujem kantorem<sup>22</sup>, że go Król Jegomość jakoby furmanem swoim mianował, a nawet sobie spamiętał słowa łacińskie *auriga regius*, co właśnie tyle znaczy po polsku, co woźnica królewski. Jam wtedy miał lat 13, a brat matki mojej, sługa kościelny albo jak go zwano kantor, wuj Walenty, nauczył mnie po trosze czytać i pisać. Tedy ja, kędy trzeba i nie trzeba, na drzwiach, na skrzyniach, na stole, wypisywałem to kredą, to węglem grube i krzywe litery, układając owe łacińskie słowa: *AURIGA REGIUS* – a tak mi się zdało, jakoby to tyle znaczyło, co hetman nad furmany.

Ale tym dobrym myślom wrychle miał być koniec markotny, bo miesiąc mijał za miesiącem, a ona konfirmacja królewska na ojcowskie wolnictwo, co miała przyjść na zamek, jak nie nadchodziła, tak nie nadchodziła. Podstarości, kiedy ojciec wrócił taki bezpieczny obietnicami królewskimi, schował był trochę rogi, ale teraz następować zaczął na ojca coraz to ciaśniej, a miał za wspólnika Węgrzyna pewnego, hajduka i wielkiego niegdyś ulubieńca pana wojewody Mniszcha. Ten

---

<sup>15</sup> *powietrze* – tu daw.: morowe powietrze, zaraza, epidemia. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *konfirmacja* (z łac.) – zatwierdzenie. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *podpisek* – sekretarz, niższy urzędnik kancelarii. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *drabant* (z niem. *trabant*) – żołnierz ze straży przybocznej wyższego oficera, gwardzista uzbrojony w halabardę. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *pajuk* (daw.) – członek służby lub straży przybocznej; lokaj, często ubrany z turecka. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *Władysław IV* (1595–1648) – najstarszy syn Zygmunta III, brał udział w wojnach moskiewskich i w wyprawie chocimskiej. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *z armaty* – tu daw. forma N. Im, dziś popr.: z armatami. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *kantor* (z łac.) – śpiewak kościelny. [przypis edytorski]

Węgrzyn, Kajdasz nazwiskiem, jeszcze pacholęciem wzięty był na dwór pański, a teraz w Podborzu przy podstarościm jakoby na łaskawym chlebie siedział, i on to niby miał dane sobie od starego pana sołtystwo nasze. Tedy obaj przypiekali ojcu, turbując go groźbami: „albo się po dobremu wynoś, albo cię wytrzęsiemy z tego wolnictwa, bo my już wygrali sprawę na zamku”; a było to kłamstwo niecnotliwe, bo dekretu nie mieli, a nawet sami w sobie nie bardzo byli bezpieczni, czy wżdy naprawdę owa królewska konfirmacja nie przyjdzie. Owoż tak stały rzeczy, że obie strony się bały – ojciec: nuż go skrzywdzą? – podstarości i Kajdasz: nuż konfirmacja będzie? Kiedy się jeden i drugi boi, łącno się godzić.

– Zapłacisz ty nam 200 złotych, a już cię zaniechać obiecujemy dla miłości ludzkiej – mówił Bałczyński.

– Nie macie wy miłości ludzkiej ani boskiej – mówił ojciec – żeście się tak sromotnie na zniszczenie moje nasadzili. Za grzechy moje dam 100 złotych, ale już mnie raz zaniechajcie i na wieczność kwitujcie, i niech was Bóg sędzi za mnie, biednego pacholka!

– Dawajże zaraz, choćby i sto; z miłosierdzia tylko czynimy.

Ojciec grosza tyle nie miał, tedy po długich namowach tak stanęło, że ojciec się na tych sto złotych do przyszłego św. Michała zapisał, a za poczekanie dać musiał lichwy tego dukata, który od Króla Jegomości w Janowie dostał. Kiedym ja, małe chłopię, patrzył na to, jako w oczach płaczącej matki ów dukat królewski zapadł jakoby w głęboką studnię w skórzany mieszek Bałczyńskiego, tak mi się serce skrajało i tak krzywdą ona mojego ojca padła mi cała ciężka i paląca na duszę, jako kiedybym w piersiach miał żywy ogień, że dnia tego i godziny całego żywota mego nie zapomnę, i choć potem jeszcze okrutniejsze dopuszczenia Boże spadły na naszą chatę i na nasze głowy, tej najpierwszej żalości mojej nie przytłumiły, tak jako dzwon, kiedy raz pęknie, już nie jęczy, choć weń jeszcze z większą mocą uderzysz, aniżeli wtedy, kiedy się spadał.

Miał ojciec mój tej zimy słabo zarobku, a jakoś blisko wiosny roku Pańskiego 1622 wyjechał do Lwowa z solą, choć już nierad sól woził, owszem całe już był prasolstwo zarzucił, jako się to rzekło, ale musiał jechać raz dla zarobku, wzięwszy sobie na głowę taki dług ciężki do św. Michała, a także i dla widzenia się z kupcy ormiańskimi, czy go gdzie z towarem w zyskowniejszą jaką drogę nie poszłą. Wróciwszy, mówi do matki jakoś nieśmiało, jakoby bał się ją utracić:

– Nie będzie tego roku wielkich frachtów<sup>23</sup> ani do Krakowa, ani do Węgier, ani do Wołoszy, a co w tę stronę iść ma, na to się już inni furmani ujednali. Dla mnie to nic z tego nie zostało i musiałbym chyba wozić Żydom samborskim wosk i skórę na spław do Sanu. Ale pan Krzysztof Serebkowicz wyprawia za pięć niedziel ze Lwowa karawanę...

– Do Turek! O ja nieszczęśliwa! – zawołała moja matka, nie dając ojcu dokończyć.

– A jużciż, że do Turek – rzecze ojciec – bo p. Krzysztof tylko z tureckimi kupcy ma swoje handle. Ale nie tak głęboko do samych Turek, bo nie aż na sam Konstantynopol, jeno do Jędrna i Warny, nad morze, bo tam okręty z towarem p. Krzysztofa przybić mają. Ujednalem się tedy z p. Krzysztofem, a jak na mój rachunek, to aby z pomocą Bożą, tam i nazad po 100 talarów zarobię.

Dużo było płaczu i lamentu w domu dla tej wyprawy ojcowskiej w dzikie i niebezpieczne kraje, aż nad Czarne Morze, które, jako mi się naonczas w głowie moje zdało, musiało być takie czarne jak sadza, a całe pełne straszliwych bestyj i smoków, tako samo czarnych, jako i one głębiny bezustannie nocujące, w których ani boże słoneczko, ani księżyc, ani gwiazdy przezierać się nie mogły; nie tak, jak w naszym Dniestrze, na którego dnie modre niebo się kładło jakby w zwierciadle, a chmury płynęły pod wodą jak ryby. Płakała matka, że ojciec się puszcza co wiedzieć na jakie przygody; płakał ja, ale nie za to, że jedzie, jeno iż mnie z sobą wziąć nie chce, a tak w niemałej żalości czas ubiegał. Tymczasem ojciec milczący gotował się do jazdy, a ja, wtedy już otrok<sup>24</sup> dość rosły, pomagałem, jak umiałem.

<sup>23</sup> *fracht* (z niem.) – partia towaru, ładunek. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *otrok* (daw.) – chłopiec, chłopak. [przypis edytorski]

Tedy zaczęliśmy koniom dawać owsa na dwie niedziele przed wyjazdem, bo dotąd sieczkę tylko i siano gryzły i bardzo były postłabły i pochudły – a było ich już tylko trzy, same brożkowe<sup>25</sup>, duże, jeden wrony, którego ojciec zwał Dżumbas, bo go od handlarza Turka kupił, a takich handlarzy dżumbusami nazywają, drugi cisawy, Kłus, trzeci podżary<sup>26</sup>, bo ani całogniady, ani całowrony, i ten był najpiękniejszy, a zwał się Sudany; pochodził z bardzo zacnej stadniny pańskiej, ale był bardzo stary i na jedno oko ślepy. Potem zaczął ojciec wóz opatrywać i oprawiać, wszystko z osobna i z wielkim baczeniem od największej do najmniejszej rzeczy, od kół, osi, obręczy, do najmarniejszego gwoźdźcia i śrubki, a była to pałuba<sup>27</sup> okrutnie duża, cała setnie kowana, z ogromnym koszem łubianym i przykoszkami, z poklatem<sup>28</sup> na obręczach, który wyglądał jak duża buda, że w niej chyba i mieszkać by można jakby w izbie, a pokryty był grubym a gęstym cwelichem<sup>29</sup> wrocławskim, że i człek, i towar bezpieczny był od deszczów, jak pod dobrym dachem. A tyle było na tym wozie żelaza, tyle łańcuchów, że, bywało, jak po twardej drodze ojciec puści konie rysią, to taki brzęk, taki łoskot, taki tętent i dzwonięcie, a przy tym tak huczy, jakoby w kotły bito, co zawsze było z podziwieniem ludzi, jako że w tych stronach ruskich<sup>30</sup>, a osobliwie pod górami, mają chłopcy wózki mizerne, że w nich i jednego ćwieczka żelaznego nie masz na pokazanie, a wszystko to piszcze i skrzypie, i trzeszczy, że kiedy z gór długim żurawiem z klepkami ku spławom jadą, to na milę słyszysz tę muzykę.

Dużo by pisać, jak opatrnie ojciec na tę drogę się wybierał, jak osobno zładował woreczek owsa święconego na dzień św. Szczepana Męczennika, aby go po drodze do karmy dosypywać dla odżegnania złego od koni, jak dobierał ziela na różne choroby końskie: lulkę, lipkę, wilżynę, kopytnik itd., jak robił zapas smarowidła na rzemienie: z wódki, sadła i sadzy gdańskiej; jak w osobny skórzany miśzek wkładał naczynie<sup>31</sup> przygodnie: młot, obcęgi, dłuto, szydła, kopę całą ufnałi<sup>32</sup>; jak czyścił topór, samopał i szeroką szablę multankę, bo bez tego ani ruszaj się z domu, skoro cię droga prowadzi w takie dalekie a dzikie krainy. Tymczasem matka ładowała odzież i bieliznę, a i o strawie na drogę pamiętała: chleba, jagieł, słoniny, gomótek, choćby tyle, aby nie od razu z gotowego grosza żyć, ale na swoim jaki tydzień i drugi poprzestać. Dał ojciec na mszę księdzu plebanowi, wysłuchaliśmy jej w wielkim nabożeństwie; ojciec się wyspowiadał i Przenajśw. Sakrament przyjął, pożegnał się z wujem kantorem i znajomymi na wsi; w skrzeszeniu serca po Sakramencie nie zapomniał nawet o podstarościm i hajduku Kajdaszu, choć za ich to sprawą musiał się hazardować i tam jechać, gdzie się już jeździć zarzekał, bo się tym pogańskim szlakiem człek wyprawia jak na wojnę, niepewny jutra i życia.

Nazajutrz rano jeszcze słońca nie było na niebie, a już pałuba zaprzężona stała gotowa, konie parskąły żwawo, jakby na dobrą wróżbę i grzebały ziemię kopytami, tak im przybyło ochoty i gorąca po dwuniedzielnym obroku. Ojciec przeżegnał znakiem krzyża św. matkę i mnie, a matka jego, oblałił i ucałował nas oboje, zrobił biczem znak krzyża świętego przed końmi, siadł na kozioł, trzasnął z bicza... „Aju! Hyj!” Zaturkotał wóz po suchej drodze, a mnie i matce się zdało, że te jego kowane koła po sercu nam przejechały.

<sup>25</sup> *koń brożkowy* – koń zaprzęgowy. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *podżary* – niejednolitej maści, podpalany. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *pałuba* (daw.) – tu: kryty wóz towarowy. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *poklat* – okrycie wozu rozpięte na wysokich pałakach. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *cwelich* (z niem. *Zwilich*) – prosta, solidna, tania tkanina. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *ruski* (tu daw.) – ukraiński. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *naczynie* – tu daw.: narzędzia, zestaw naprawczy. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> *ufnał a. hufnał* – duży gwóźdź do przybijania podków. [przypis edytorski]

## II. Kozak Semen

Wkrótce po tym wyjeździe mojego ojca stało się u nas wielkie zamieszanie i jakoby trzask okrutny, jeno że bardzo niewesoły. Wracały wojska z wojny tureckiej, a wracały biedne, chude, odarte i głodne, a w onej biedzie własnej niepamiętne biedy ludzkiej. Rozsypał się żołnierz szeroką siecią; zawadził i o ekonomię samborską, jako że to była królewsczyzna, a tedy najbardziej na gospody żołnierskie wystawiona. Napatrzyłem się wondrous i buty, i nędzy wojackiej do syta. Najpierw zaczęła się przewijać szlachta, wracająca do dom z pospolitego ruszenia, ale tej spieszno było do własnego komina, a podobno mało tam który z niej widział żywego Turka, bo się to wszystko zaraz po chocimskiej potrzebie<sup>33</sup> jeszcze spode Lwowa wróciło, nie zażywszy obozu i nie powąchawszy prochu. Ale za nią posypał się dopiero prawdziwy żołnierz najrozmaitszej broni, jeszcze jakoby mokry od krwi pogańskiej, a i od swojej własnej, kurzem bitwy okryty, czarny od wiatrów i słońca – często chory, często ranny i okaleczały, a zawsze głodny; odarty i prawie że dziki. Napatrzyłeś się wtedy, bracie, co to wojna umie!

Husaria, pancerni, dragonia, rajtaria, piechota łanowa, kozacy, i Bóg tam wie jaki jeszcze lud zbrojny, bo byli między nimi i Wołosi<sup>34</sup>, i Węgrzyni, i Niemcy – wszystek ten żołnierz to mijał, to się zatrzymywał, a najczęściej tak bywało, że ledwie jedni się osadzą, a już drudzy ich spędzają z gospód siłą mocą, tak że bez trzasku szabel i bez strzelaniny często się nie obyło. A wszystko z uciskiem i ze łzami ubogiego ludu, bo żołnierz długo był niepłatny; tym żył, co mu dano, a raczej tym, co sam wziął. Były między nimi szarpacze, że ano nie wiesz, czy to swój, czy nieprzyjaciel; z Tatarem stali za jedno. Gdzie był jaki kogut, to go zjedli; cielęta różni, płótno babom wydzielali, ziarnko żyta i źdźbło słomy nie zostało po nich w stodole.

Tak i u nas w Podborzu działo się z wielkim strachem moim, a z niemającym płaczem mej matki. A ta jedna tylko była pociecha dla mnie, że zaraz pierwszego dnia żołnierze okrutnie zbili podstarościgo i hajduka Kajdasza za to, że ich do dworu puścić nie chciano, każąc im na nas, ubogich chłopkach, poprzestawać. Za zmiłowaniem Bożym poszli nareszcie, albo raczej wyścigano ich z całej okolicy, zaś na ich miejsce przyszły rotys husarskie, a między nimi i rota p. kasztelana Samuela Koniecpolskiego, który po panu Daniłłowiczu trzymał starostwo samborskie. Podstarości z hajdukiem Kajdaszem pisali dla nich gospody, a jako chata nasza była najdosatniejsza we wsi i była przy niej duża stajnia, to nas najpierwszych pisali. We dworze, w którym tylko podstarości Bałczyński siedział, stanął sam pan chorąży husarski z kilku towarzyszami, a na naszą zagrodę przypadły trzy konie z jednym czeladnikiem służebnym.

Pamiętam, było to już pod wieczór, a wrota naszego podwórza były przywarte, kiedy siedząc w izbie, słyszę mocne wołanie:

– Hej, ho! Hej, ho!

Wychodzę ja i spojrzę: przed wrotami stoją trzy konie; dwa z nich wyniosłe i szumne, całe czerwonymi suknamy nakryte, bardzo pańskie i harde, żem takich pięknych jeszcze nie widział, zaś trzeci o wiele mniejszy, chudy i bardzo na oko niepoczesny, a na nim siedzi młody człek, jakoby wyrostek dopiero, w kaftanie z cielecej skóry, na której sierść była zostawiona, w czapce baraniej wysokiej i spiczastej, przegiętej na lewy bok, z długą spisą i przy szabli, a na plecach i przy boku wiszą mu trzy jakoby sakwy, jedna bardzo długa, druga krótsza, trzecia jakby okrągła, a wszystkie trzy mocno kudłate, bo z koziego kozucha szyte.

---

<sup>33</sup> *chocimska potrzeba* – bitwa pod Chocimiem, rozegrana we wrześniu i październiku 1621 r. między wojskami sułtana tureckiego Osmana II a armią polsko-kozacką pod dowództwem J.K. Chodkiewicza. Wynikiem bitwy było taktyczne zwycięstwo strony polskiej. [przypis edytorski]

<sup>34</sup> *Wołosi* – tą nazwą określano w przeszłości różne ludy z południowego wschodu Europy, z Półwyspu Bałkańskiego oraz z terenów dzisiejszej Rumunii i Mołdawii. [przypis edytorski]

– Hej, ho! Hej, ho! – woła na mnie patrzącego – a odevrzesz ty wrota, *kotiuho*<sup>35</sup>!

Idę otwierać, a tymczasem wyszła i matka, już zła bardzo, cała czerwona i chmurna, z zaciśniętymi od gniewu ustami, bo już jej były te gospody żołnierskie dojeły do żywego i tak nas zniszczyły, że i chleba suchego w domu nieraz nie było, że pamiętam, matka zwykła była mówić: przyszedł jeden, wziął sukmanę; przyszedł drugi, wziął koszulę; przyjdzie trzeci, to chyba skórę z ciała zedrze.

Ale ten nowy gość w cielecym kaftanie jakoś tak nie wyglądał, jakoby nas ze skóry miał łupić. Choć mnie przed chwilą nazwał *kotiuha*, teraz kiwnął mi głową i uśmiechnął się wesoło, zeskoczył z konia, zdjął czapkę, pokłonił się pięknie matce, pocałował ją w rękę i rzekł:

– *Stawa Bohu!* Daj Boże zdrowie, pani matko!

Kiedy zdjął czapkę i grzecznie nas pozdrowił, my oboje jeno gęby pootwierali od zdziwienia, bo ano ten człowiek miał całą głowę ogoloną, a na wierzchu jeno został mu długi kosmyk włosów, jakoby warkocz zapleciony, a ten sobie zawinął aż poza ucho. Pomiarkował to ten człowiek, że na niego jakby na dziw patrzymy i śmiejąc się rzecze:

– Ano, to wy, jako baczę, żywego Kozaka jeszcze nie widali?

Jam przecież widywał często kozaków starościńskich, bo z zamku samborskiego z listami jeździli, ale ci byli w barwie<sup>36</sup> przystojnej i włosy tak strzygli, jak my wszyscy, i nie wieszali na siebie takich biesag<sup>37</sup> kosmatych, i spis takich długich u nich nie widziałem, jeno szable i pletnie. Tak mu też powiadam.

– Bo tamto to sobie czeladź służebna, starościńska – rzecze on na to – a ja mołojec<sup>38</sup> rzetelny, wolny, i z Kozaków „nieposłusznych”<sup>39</sup>, zaporoskich.

– A kiedy wy nieposłuszny i niesłużebny, to czemu służycie i słuchacie? – mówi matka.

– Bo teraz muszę, ale mój ojciec nie musiał i ja przody nie musiał, i niezadługo to znowu nie będę musiał, jak Bóg da... U nas tak powiadają: *Terpy, Kozacze, budetez otomanom!*<sup>40</sup>

Mówił po rusku<sup>41</sup>, lubo umiał także po polsku, ale my i po rusku dobrze go rozumieli, jako żeśmy między samą Rusią i porodzili się, i wychowali.

– A ciebie jak wołają? – pyta mnie ten Kozak.

– Hanusz – odpowiadam, bo na imię było mi Jan, ale ojciec z miejska Hanusz mnie wołał, i pytam: – A was jak?

– Ja się nazywam Semen Bedryszko, spod Czerkas<sup>42</sup>, assawułów<sup>43</sup> syn.

Zawiódł konie do stajni, a już mu było ze dworu obroki przystawiono, ustawił w przeworynach<sup>44</sup>, uwiązał, nasypał jeść, założył siano, a przed tym jeszcze długą spisę i owe kosmate biesagi w kącie złożył. Potem z jednej biesagi wydobył luk, z drugiej łubie<sup>45</sup> ze strzałami, a z trzeciej kobzę<sup>46</sup> kozacką z dereniowego drzewa, i wszystko to obok siodła i dwóch pistoletów, które miał w olstrach<sup>47</sup> kulbaki<sup>48</sup>, porządnie na kołkach porozwieszał.

<sup>35</sup> *kotiuha* (ukr. dial.) – pies. [przypis edytorski]

<sup>36</sup> *barwa* – tu daw.: strój, mundur. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *biesaga* – torba, sakwa. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> *mołojec* (daw. ukr.) – dzielny młody mężczyzna; bohater; wojownik. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *Kozacy „nieposłuszni”* – wolni, nie znajdujący się na niczyjej służbie. Wolni Kozacy mieszkali w XVII w. na Zaporozu w dolnym biegu Dniepru (dziś pld.-wsch. Ukraina). [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *Terpy, Kozacze, budetez otomanom* (ukr.) – wytrzymaj, Kozacze, a zostaniesz atamanem (dowódcą). [przypis edytorski]

<sup>41</sup> *po rusku* (tu daw.) – po ukraińsku. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> *Czerkasy* – miasto nad Dnieprem, ok. 200 km na pld. wsch. od Kijowa. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> *assawuła* a. *esauł* – oficer kozacki, adiutant atamana. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *przeworyna* – zagroda w stajni dla jednego konia. [przypis edytorski]

<sup>45</sup> *łubie* – kołczan, pojemnik na strzały. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *kobza* – strunowy instrument muz. popularny wśród Kozaków, podobny do lutni lub mandoliny. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> *olstro* – skórzany futerał na pistolety, podwieszany przy siodle. [przypis edytorski]

Ja przez cały czas chodziłem za nim oczami w ciekawości wielkiej, a kiedy wyszedł ze stajni, pobiegłem i ja, czekając, rychłoli<sup>49</sup>, tak jak inni żołnierze, weźmie kłac na matkę, wołać: „Dawaj, babo, jeść!” – Matka była właśnie na podwórzu z siekierą w ręku i zabierała się do rąbania drwa, bo sługi już wtedy nie mieliśmy, a tu Kozak skoczy do niej, odbierze jej siekierę i powie:

– Zostawcie; ja to lepiej umiem!

Narąbał drewno, zaniósł do izby, wziął dwie próżne konewki i nie pytając nawet, gdzie we wsi studnia, bo ją po drodze widział, nanosił wody, a widząc, że matka nieci ogień na kuchni, podsunął się i sam go tak prędko rozniecił, że ja z matką z podziwieniem na to patrzyliśmy. Zobaczył garnek czysty, który matka nagotowała<sup>50</sup> była, nalał doń wody, przystawił do ognia, a zrobiwszy to wszystko, siadł na ławce i mrugając do nas wesoło, mówi:

– Ogień jest, woda jest, ino warty, koby buło szczo!<sup>51</sup>

Tak się ten Semen grzecznie przymówił do wieczery, a że matka mu rada była za tę jego pocziwość, tedy miał i kaszę jaglaną z mlekiem, i trochę szperki do chleba się znalazło – a jadł jak wilk, taki był głodny.

Wziął nas od razu za serce ten Kozaczek i z każdym dniem miłszy był mojej matce; ja zaś tom go tak polubił, jak gdyby to był mój rodzony. Nie był nam ciężki, owszem, niepomału pomocny; nie jadał nawet z nami, bo go jako czeladniczka p. kasztelana Koniecpolskiego podstarości we dworze żywić musiał, a matce, kiedy tylko mógł, to pomagał: drwa rąbał, wodę nosił, izbę zamiatał, na pole chodził, sieczkę rznął, na żarnach mąkę mełł; co weźmie, to mu się pod ręką pali, taki zwawy robotnik, a wesoły, a śpiewający, aż w chacie miło.

Bywało weźmie wieczorem tę kobzę swoją i zacznie śpiewać, a przerwami na strunach przebierać, że ano i one śpiewają jakoby żywe, i zda ci się raz, że płaczą żałośnie, albo jak wesołe skrzyпки do tańca wołają, że jeno podskocz z miejsca; to znowu szumią cicho jak wiatr w burzanach<sup>52</sup> i giną gdzieś daleko, daleko, jakby to aż za górami, za borami było, że już nie do ucha gadają, ale do samej duszy człowieczej, i tak ci się robi, jak kiedyby coś bardzo dobrego i umiłowanego od ciebie uciekało, uciekało, a nareszcie całkiem uciekło i wrócić nie obiecało... Matce mojej zawsze się wtedy na płacz brało i zawsze jej stawał na oczach ojciec, biedny, samotny, wędrowny, w dalekich pogańskich krainach.

– Miły Boże – rzecze tak raz matka – co tam teraz mój porabia!

– Wasz? – pyta Semen i mówi dalej: – Ot, ja głupi, to ja myślał, że wy wdowa, a gdzież wasz?

– Pojechał z furmanką, z ormiańskim towarem... już temu kilka niedziel będzie.

– A gdzie pojechał? – pyta Kozak.

– Daleko, bardzo daleko, aż do Czarnego Morza.

Kozak klasnął w dłonie i woła:

– Czarne Morze! *Znaju, znaju*<sup>53</sup>! Bywał ja na Czarnym Morzu, oj, bywał! Tak rok jeszcze bywał! Hej, hej, to jakby moja ojczyzna!...

A kiedy to mówił, to tak jak gdyby i radość, i żałość jakaś zarazem go zbierała, a oczy mu się zapaliły jak dwa żywe węgle.

– Nad Czarne Morze pojechał; ot, i patrzcie, a nic mi nie mówicie! Ale gdzie, na jaką stronę? Widzicie, Czarne Morze wielkie, wielkie jak świat! A po brzegach grody i sioła, i zamki, a od jednych do drugich daleko, daleko, znowu świat! Biłogród, Kilia, Sulima, Tarabozan, Synopa, Warna...

– Warna, Warna! – zawołała matka – do Warny z kupcami pojechał.

<sup>48</sup> *kulbaka* – wysokie siodło. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *rychłoli* (daw.) – czy prędko; jak szybko. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *nagotować* – tu: przygotować, przyszykować. [przypis edytorski]

<sup>51</sup> *ino warty, koby buło szczo!* (daw. ukr.) – tylko gotować, gdyby było co (gdyby się coś znalazło). [przypis edytorski]

<sup>52</sup> *burzan* (z ukr. *бур'ян*, *burian*) – chwast, zielsko. [przypis edytorski]

<sup>53</sup> *znaju* (ukr. *знаю*) – wiem, znam. [przypis edytorski]

– Ot, co, tak i gadajcie, do Warny! *Znaju, znaju!* To nie tam od Zaporozża, gdzie nasz Dniepr, ani tam od Wołoszy, gdzie wasz Dniestr do morza wpada, to na dole, na dole...

– Jakoż to Dniestr? – rzekę ja z wielkim zdziwieniem, bo Dniestr płynął pod naszą wsią i ledwie go z okna naszego nie widać – to Dniestr płynie aż do Czarnego Morza?

– Co nie ma płynąć?... płynie aż do samego morza, a jakby ty, mołojczyku, wyszedł tu z Podborza, a szedł brzegiem, a szedł i szedł... tobyś do limanu<sup>54</sup>, a z limanu do Czarnego Morza zaszedł, ot, co!

Zadumał ja się bardzo, a tymczasem matka mówi:

– A wy tam byli, Semen?

– Czemu ja nie miał być? Był ja tam, był ja i dalej. Kędy to Semen nie bywał z ojcem assawułą i mołojcami!...

– Tak piechotą, brzegiem dniestrowym? – pytam ja teraz.

– Widzisz go! Piechotą, brzegiem! Jeszcze ty durny mołojczyk jesteś! Na czajkach my tam byli. I zaczął się śmiać bardzo ze mnie, a ja się już wstydzilem pytać, co to są czajki, bo znałem tylko czajki ptaki i słyszałem, że jesienią wybierają się za morze, ale matka pyta:

– A cóż to są czajki?

Tedy dowiedzieliśmy się od Semena, że to są takie duże czółna, żłobione z lipowych kłód, skórą w środku wybite, a dokoła trzcina, czyli oczeretem oplatane, na których i rzekami, i morzem chyżo płynie, kto wiosłowania dobrze świadom.

– A co wy tam robili, Semen, na Czarnym Morzu i w Warnie? – pyta matka.

– Co my tam robili? Hulali! W gościnie my tam byli, hej, w gościnie! Tylko że nam tam nie byli radzi, oj, nie byli, pewno nie byli!

I tu przerwał i nie chciał dalej mówić, jeno taki stanął, jakby go kto odmienił; coś mu takiego z oczu błysnęło, czego my przedtem nigdy w nim nie widzieli, tak jakoby w tym Kozaku jeszcze drugi jakiś człek siedział, ale zły i srogi, a dopiero teraz niby z jaskini na nas spojrział. Ale to na chwilę tylko było, bo zaraz potem znowu był wesół.

Mieli my dużo pociechy z tego Kozaka, i ja, i matka, i sąsiedzi, a ja to już pewno najwięcej. Nauczył mnie na swej kobzie grać, nauczył z łuku strzelać, a był taki sprawny w tym strzelaniu i taką miał dziwną pewność w oku, że bywało ptaka w lot strzałą przeszyje; pokazał, jak mam sobie strugać wereszki<sup>55</sup> na strzały, jak na nie nabijać ostre płoszczyki<sup>56</sup>, jak robić zatrzaski, sidła i siatki na ptactwo i zwierzynę, jak wypłatać węcioroki<sup>57</sup> na ryby, jak w czystym polu<sup>58</sup> lub w lesie rozeznać się, gdzie słonko wstaje, a gdzie się chowa, i gdzie na niebie południe a gdzie siewierz<sup>59</sup>, a to nawet w nocy, wedle gwiazd, jak przykładać ucho do ziemi i nasłuchiwać, i poznać, czy kto jedzie z daleka i czy to wozy, czy konni ludzie, i czy ich mało, czy więcej – owo zgoła nauczył rozmaitych ciekawości, których u nas we wsi nikt albo cale<sup>60</sup> nie znał, albo niedobrze wiedział. Z koniem swoim, chudym i na oko marnym, to był jakoby z przyjacielem albo z rodzonym bratem, mówił do niego jak do człowieka i powiadał, że koń jego rozumie, a on konia; jakoż była to szkapo osobliwa, jak dobrze chowany pies zmyślna i posłuszna, i jak pies do swego pana przywiązana. Pozwalał mi też na swego konia wsiadać, a kiedy tamte dwa konie husarskie prowadził na przekłuskę, pozwalał mi jechać na swoim, a sam jednego z husarskich dosiadał.

Jednego ranka wyjechaliśmy tak z końmi i wzięliśmy się drogą ku Samborowi. Ujechaliśmy może jaką ćwierć mili, kiedy się natkniemy na wóz mały, ale dobrze naładowany, tak jakby jakiś

---

<sup>54</sup> *liman* – zatoka u ujścia doliny rzecznej do morza. [przypis edytorski]

<sup>55</sup> *wereszka* a. *brzechwa* – drzewce strzały. [przypis edytorski]

<sup>56</sup> *płoszczyk* – płaski grot strzały. [przypis edytorski]

<sup>57</sup> *węciorok* a. *węcierz* – plecionka, gęsta sieć w formie cylindra z wikliny. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *czyste pole* (z ukr.) – puste pole. [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *siewierz* (daw.) – północ. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *cale* (daw.) – wcale; zupełnie, całkiem. [przypis edytorski]

towar wiózł, z dwoma mocnymi końmi w zaprzęgu węgierskim i z furmanem ubranym nie po naszemu, bo u nas takich świtek z samodziału i takich czapek wysokich, spiczastych, a bardzo podobnych do tej, jaką Kozak Semen miał na głowie, nigdzie dokoła nie naszano. Jak go Semen zobaczył, to aż prawie podskoczył na koniu i zaraz do niego po rusku:

– *Sława Bohu!* A wy od Taraszczy?

– A od Taraszczy. Od Łebedynej Grobli.

– A skąd jedziecie?

– Aż z siedmiogrodzkiej ziemi.

– A dokąd Bóg prowadzi?

– Do Lwowa, a stamtąd, pomagaj Boże, do domu, na Ukrainę.

– A wóz i konie wasze?

– Gdyby moje! Ja czumak<sup>61</sup> biedny. Nie moje, żydowskie...

– A jaki to Żyd?

– Chocimski, turski Żyd, Czarny Mordach.

– Czarny Mordach, co go po tursku Kara-Mordach nazywają! – krzyknął Semen i tak rzucił sobą na koniu, jakby go kto strzałą przebódl. – A gdzież on?

– Został w tyle – mówi furman – jedzie konno, na siwym bachmacie, ot, i słyhać kopyta.

Patrzę ja w tę stronę i widzę: jedzie na siwym koniu chłop setny, w czarnej żupicy<sup>62</sup>, przepasany szerokim rzemieniem z surowej skóry, z twarzą ciemną jakby u Cygana, z dużą czarną brodą i z małymi bystrymi oczyma, świecącymi jak u kota, ale kosooki, tak że tym zezowatym spojrzeniem brał cię jakoby we dwoje szydeł i chciał niby przekłuć człowieka brzydkimi ślepiami na wskrós z obojej strony.

Jak go tylko Semen zobaczył, poczerwieniał cały jak mak polny, żyły mu nabiegły krwią na czole, a oczy mu się zapaliły takim gniewem, że aż mnie samemu stał się straszny.

– Bóg mi jego dał! Bóg mi jego dał! – woła wielkim głosem i sadzi z koniem prosto na onego Żyda.

Żyd patrzył więcej na nasze konie niż na nas, dopiero gdy Samen tak krzyknął i tak do niego podjechał, że swoim kolaniem prawie jego kolana dotknął, podniósł oczy na Kozaka.

– Kara-Mordach! Kara-Mordach! – krzyknął teraz Semen. – Pogański synu! Sobako! Znasz ty mnie? Znasz ty Bedryszkę?

Żyd się zatrząsł, pobladł i z nagłym strachem umknął się w zad konia, ale w tej samej chwili Kozak łap! go za gardło i tak okrutnie ścisnął, że małe oczka Żyda krwią nabiegły i wysadziły się na wierzch jak gałki. Żyd aż zacharczał, ale w tej chwili, jako miał pleciony kańczug w ręku, tak nim z całej siły uderzył konia, na którym Semen siedział. Świsnęła żydowska pletnia<sup>63</sup> w powietrzu jak żmija, i jak żmija zwinęła się na koniu, a koń zapiszczał z bólu i strachu, i jak wściekły rzucił się wielkim skokiem na bok. Semen spadł na ziemię. Żyd zaciął pletnią swego bachmata i zaczął uciekać gwałtownym cwałem. Jak wicher rozmiatał za sobą kurzawę i przepadł z oczu jakoby w ciemnej chmurze.

Semen porwał się na nogi, strącił mnie z swojego kozackiego konia jak kluskę na ziemię, wspiął się w kulbakę i nie rzekłszy do mnie ani słówka, puścił się strzałą w pogoń za Żydem.

Tylem go widział i słyszał, co świszcz puszczone z łuku... Zerwał się w górę wysoko drugi tuman kurzu i zakrył i Semena, i konia. Zostałem sam na drodze, a konie husarskie tymczasem popędziły na pola. Nie wiedziałem, co czynić, czy łapać konie, czy czekać na Semena – stałem jak

---

<sup>61</sup> *czumak* (ukr.) – chłop zarabiający na życie przewożeniem towarów na długich trasach, często wozem zaprzężonym w woły. [przypis edytorski]

<sup>62</sup> *żupica* (daw.) – płaszcz, długa kurtka. [przypis edytorski]

<sup>63</sup> *pletnia* (daw.) – pleciony bicz z bydłowej skóry. [przypis edytorski]

głupi od strachu i ciekawości, z oczyma wlepionymi w obłoki kurzu, które umykały coraz dalej, coraz dalej, aż opadły pod górąmi.

### III. Tajemnica kozacka

Minął dzień, a Semen nie powrócił. Konie, połapane w polu, dopiero pod wieczór przywiedziono do wsi, ale już ich nie postawiono w naszej stajni, tylko we dworze u podstarościego. Przyszedł hajduk Kajdasz do naszej chaty i kazał mi z sobą iść do dworu. Szedłem z wielkim strachem, jak kiedybym współwinny był w tym, co się stało z owym Żydem i Semenem. Pytano mnie surowo, a nawet chłostą grożono, abym wszystko powiadał, co jeno wiem, bez wszelkiego zatajenia; jam też wszystko powiedział, choć tego niewiele było i nikt z tego mądry być nie mógł. Całą noc tego dnia nie spałem; matka także; zawsze nam się zdawało, że Kozak wróci; a kiedy się tylko co ruszyło na podwórzu, wiatr czymś potrącił, pies gdzieś we wsi zaszczekał, wybiegałem z chaty, czy to nie Semen wraca.

– Niechajby już nie wrócił i niechbyśmy go już nigdy nie obaczyli – rzecze mi matka nazajutrz rano – byleby go nie złapano. Bo co wiedzieć, jako to było i co się stało? Może co straszego; może rozbój jaki, zabicie tego czarnego Żyda...

Trafiła matka w samą prawdę, bo pod wieczór wuj kantor, który Semen u nas poznał i bardzo polubił, przybieżał do nas zadyszany i prawi:

– Jechali dziś solarze z Drohobycza; powiadali, że tam niedaleko Bronnicy znaleźli ludzkie na polu jakiegoś turskiego Żyda, szabłą srodze zrąbanego, że już znaku życia nie dawał. Złożyli go u Żyda kwotnika, co niedaleko mieszka, a balwierz, co go zawołano, jeszcze się w nim życia domacał, ale mówi, że mu śmierć pewna od rozłupanej czaszki.

– Od Semenowej szabli! – zawołałem prawie z uciechą, bo lubom<sup>64</sup> z tej całej przygody nic nie rozumiał, przeciwnie na ślepo trzymał z Kozakiem przeciw Żydowi.

– Pewno, że nie inaczej – mówił na to wuj – ale kto tam wie, czy się i Semenowi nie dostało, bo Żyd ów prawie że jeszcze trzymał w ręce wystrzelony pistolet.

– Może i Semen zabity! – woła matka. – Może, postrzelony, powłókł się gdzie w las albo w pole i tam skonał. Nieszczęśliwy sierota!

– Toby jego koń został – mówię ja na to – a jak konia nie ma, to Semen pewnie zdrowo uszedł. Znam ja tego konia dobrze; nie odstąpiłby on swego pana na krok; tak by przy nim wartował, jak pies, i prędzej by zdechł, niżby go odbiegał.

Tak my i wszyscy we wsi gadali, i zachodzili w głowę, co to była za rzecz między Semenem a tym podróznym Żydem turskim, a tymczasem znowu dzień minął bez słychu i wieści, i wszystko, jako nam było tajemnicą, tak i pozostało. Tej nocy ja znowu usnąć nie mogłem, ciągle myśląc o Żydzie i Semenie, a obaj stali mi tak w oczach, jak gdybym obu żywych miał przed sobą. Leżę tak w małej izbie z otwartymi oczyma – matka spała obok w świetlicy – i w głowie mi się kłębi od samych dziwnych rzeczy, jak gdyby w jakiej strasznej bajce, i patrzę w małe okienko naprzeciw mojego posłania, a noc była dość jasna, choć księżyc nie dochodził jeszcze do pełni – kiedy nagle widzę, że jakiś cień podsuwa się pod okno i słyszę jakoby lekkie pukanie. Nie wierzę zrazu ani oczom, ani uszom, myśląc, że to tylko przywidzenie, ale oto znowu i cień widzę wyraźniejszy, i pukanie słyszę głośniejsze. Zrywam się z posłania i w tej chwili przychodzi mi na myśl, że to chyba Semen być musi.

Ostrożnie, po cichutku, aby matki nie budzić, wmykam się do sionki, odsuwam zaworę, i z progu wyglądam na podwórze. Patrzę, a tu pod oknem stoi Semen. Zobaczył mnie zaraz i przystąpiwszy mówi do mnie szeptem:

– To ja, Hanusiku, ja. Semen. Gdzie moje pistolety?

– Schowałem je w izbie – odpowiem.

A trzeba wiedzieć, że najazutrz po zniknięciu Semen zabrałszy z matką z pustej stajni wszystkie jego rzeczy: łuk, sajdak, pistolety, kobzę, do komory.

<sup>64</sup> *lubom nic nie rozumiał* (daw.) – chociaż nic nie rozumiałem. [przypis edytorski]

– Łuk i kobza niech będą twoje, na *niezabudysz*<sup>65</sup> po Semenie, ale pistolety mi wynieś i sam się zbieraj, bo mi ciebie trzeba.

Wpadłem do chaty, ogarnąłem się prędko, po cichu z komory zabrałem pistolety i wykradłem się na dwór jak złodziej, aby matka nie słyszała. Kozak wziął pistolety, chwycił mnie mocno za ramię i tylko jedno słowo powiedział:

– Chodźmy.

Zagroda nasza stała dość daleko za wsią, prawie na bezludziu, nie było tedy wielkiej obawy, aby nas kto widział, choć jak rzekłem, noc jasna była. Jednakże Semen rozglądał się dobrze dokoła, jakiś czas nasłuchiwał, a potem ruszył ze mną bardzo szybkim krokiem. Przebiegliśmy pole i zapadli w las, a od Podborza zaczynają się ogromne lasy i idą daleko, daleko w góry, aż pod Beskid ku Węgrom, ciemne, gęste bory, jakoby jedna nieprzebrana puszcza. Na brzegu lasu Semen się zatrzymał i mówi:

– Otwórz ty dobrze oczy jak ryś, bacz ostro i miarkuj sobie a zapamiętaj drogę, abyś się tu dobrze wyznał i abyś tam mógł trafić beze mnie, czy dniem, czy nocą, dokąd ja ciebie teraz zawiodę. Tam uważaj i pamiętaj, jak gdyby ci o śmierć albo życie chodziło.

Wstąpiliśmy w las i szliśmy długo, bardzo długo, że mi się to parę godzin zdało, a Semen po drodze ciągle mnie uczył, jako poznawać drogę, pokazywał mi znaki, według których mam się brać, to prosto, to w lewo, to w prawo; tu debra<sup>66</sup>, tu ruczaj, tu jar, tu polanka, tu wywrócisko, tu majdanek, tu zielony od mchu moczar; tędy pójdziesz, tak skręcisz, stąd prosto jak strzelanie z łuku na północ się weźmiesz. Kazał mi leżeć na bardzo wysoką sosnę i sam wylazł, a stamtąd na gwiazdy uważać kazał, które z nich dobrze drogę mi wskażą, gdyby tego była potrzeba.

Nareszcie przyszliliśmy na polanę większą, w czarnej gęstwinie ukrytą, z jednej strony od lasu jarem głębokim przeprutą. Od polany lej ku północy las wyraźnie jakby do góry skoczył, albowiem tak się nagle i stromo grunt leśny podnosił, żeśmy naraz stanęli przed urwistą skałą, jakoby przed ścianą, i gdybyśmy byli chcieli dostać się dalej, nie zbaczając z drogi, to chyba leżeć po drabinie byłoby trzeba. Tu Semen stanął i pyta:

– Spamiętałeś dobrze drogę?

– Spamiętałem.

– Trafisz do domu?

– Trafię.

– A z domu?

– I z domu.

– Ile tobie lat? – pyta dalej.

– Piętnasty.

– Piętnasty rok – rzecze na to Semen – a to w twoich leciech już był mołojec ze mnie! Brał mnie ojciec na wojnę i na chadzke<sup>67</sup> do czajki na Czarne Morze! Czy ja jednego Tatara strzałą z konia zsadził, jak ja miał piętnaście lat! Wiem, że ty ciekawy i niedurny; i szczerą duszą jesteś, i wiarna; wiem, wiem. Zdrady jeszcze nie znasz, pewnie nie znasz, ale czy nie poznasz? Kto to wie. *Boh znaje*<sup>68</sup>... Za nami, Kozakami, chodzi zdrada jako cień za człowiekiem; więcej mołojców ginie od zdrady niż od lackiego samopału, niż od tatarskiej strzały, niż od janczarskiej szabli! A przysięgniesz, że mi wiary dochowasz?

– Przysięgnę! – mówię śmiało.

Semen wyjął z zanadru mały krzyżyk drewniany, kijowski, rzezany, pocałował go, kazał mnie pocałować i tak się ozwał:

---

<sup>65</sup> *na niezabudysz* (daw. ukr.) – na pamiętkę. [przypis edytorski]

<sup>66</sup> *debra* a. *debrza* – dół, wąwóz, rozpadlina. [przypis edytorski]

<sup>67</sup> *chadzka* – wyprawa. [przypis edytorski]

<sup>68</sup> *Boh znaje* (ukr. *Бог знає*) – Bóg jeden wie. [przypis edytorski]

– Na ten krzyż, na św. Spasa, na Bogarodzicę, na św. Mikołaja i na wszystkich świętych i błazennych Ławry<sup>69</sup> Pieczarskiej przysięgnij, że to, czego się tu dowiesz, zachowasz w tajemnicy, że nikomu tego nie pokażesz, co ja tobie pokażę, i że wszystko tak zrobisz, jako ja ciebie nauczę! Czy przysięgasz?

– Przysięgam.

– Ten turski Żyd, Kara-Mordach, cośmy go spotkali, to był taki przeklęty pies i zdrajca, co krew kozacką pił. Bóg mi go w ręce dał; zginęła żmija od szabli kozackiej.

– Co on wam zrobił, Semen? – zapytałem.

– Co zrobił? – zawołał Semen – ojca mojego zdradził i sprzedał, Turkom pohańcom go sprzedał, jak podłe bydłę sprzedał, jak psa na łańcuchu go wydał!

– A kto był wasz ojciec? Czy także Kozak? – pytam znowu.

– Jakże nie Kozak? – rzecze Semen. – Oczywiście Kozak, my wszyscy z Kozaków i Kozacy; każdy Bedryszko Kozak! Ale jaki był Kozak! Takiego drugiego nie ma w Siczy<sup>70</sup>, w całej Ukrainie nie ma ani na Zaporozżu<sup>71</sup>! On jeszcze hetmana Kosińskiego<sup>72</sup> widział, z Borodawką<sup>73</sup> wojował, z Łobodą<sup>74</sup> na Turków chodził, z Nalewajką<sup>75</sup> i z Sahajdacznymi! On był prawą ręką Sahajdacznego Konaszewicza<sup>76</sup>, okiem w głowie był u niego. Czarne Morze go zna i sam sułtan wie o nim, i baszowie turecy trzęśli się przed nim ze strachu! On Synopę<sup>77</sup> złupił i Archiokę<sup>78</sup> z dymem puścił, i Oczaków<sup>79</sup>; z Konaszewiczem Warnę spalił<sup>80</sup> – niedawno, ledwie dwa roki temu! Z Lachami chodził na Turków; hetman Żółkiewski go znał i hetman Chodkiewicz; pan Koniecpolski prawie go za brata i towarzysza miał, tak jego lubił. Ale nie ten wasz Koniecpolski, pan Samuel, tylko ten drugi, p. Stanisław<sup>81</sup>, choroszy<sup>82</sup> pan i rycerska krew, co go Turcy pod Cecorą w jasyr wzięli! I to całe nieszczęście, że go wzięli! Pan Stanisław Koniecpolski byłby ojca mojego od Turków pewno wykupił; pan to *praworny*,

<sup>69</sup> *Ławra Peczerska* – ośrodek religijny, dziś w granicach Kijowa; klasztor, w którego podziemiach (pieczarach) spoczywają mumie wielu świętych i błogosławionych mnichów prawosławnych. [przypis edytorski]

<sup>70</sup> *Sicz Zaporoska* – wędrowną stolicą Kozaków Zaporoskich, obóz warowny na jednej z wysp dolnego Dniepru. [przypis edytorski]

<sup>71</sup> *Zaporoże* – kraina w dolnym biegu Dniepru, poniżej porohów, zamieszkała przez społeczność Kozaków zaporoskich. [przypis edytorski]

<sup>72</sup> *Krzysztof Kosiński herbu Rawicz* (1545–1593) – polski szlachcic, który po utracie majątku został hetmanem kozackim. Zorganizowany przez niego najazd, mający pierwotnie na celu odzyskanie dóbr ziemskich pod Kijowem, przeistoczył się w bunt kozacki przeciwko Polakom. [przypis edytorski]

<sup>73</sup> *Jacko Nerodycz-Borodawka* (ukr. *Яцько Бородавка- Неродич*; zm. 1621) – hetman Kozaków Zaporoskich w latach 1619–1621. W czasie wojny z Turcją został przez Kozaków pozbawiony władzy na rzecz Sahajdacznego i stracony pod Chocimiem. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> *Grzegorz Łoboda* (ukr. *Григорій Лобода*; zm. 1596) – hetman kozacki, uczestnik powstania Nalewajki przeciwko Polsce, uważany przez współplemieńców za zbyt ugodowego w stosunku do Polaków, w czasie bitwy pod Łubniami został posądzony o zdradę i zabity. [przypis edytorski]

<sup>75</sup> *Seweryn Nalewajko* a. *Semen Nalewajko* (ukr. *Северин Наливайко*; zm. 1597) – ataman kozacki, przywódca powstania przeciwko Rzeczypospolitej 1595–1596, pokonany przez hetmana Stanisława Żółkiewskiego i ściety. [przypis edytorski]

<sup>76</sup> *Petro Konaszewicz-Sahajdaczny herbu Pobóg* (ukr. *Петро Конашевич-Сагайдачний*; 1570–1622) – hetman kozaków rejestrowych, uważany za jednego z najwybitniejszych wodzów kozackich. [przypis edytorski]

<sup>77</sup> *Synopa* – miasto portowe w Turcji, ok. 650 km na wsch. od Stambułu. [przypis edytorski]

<sup>78</sup> *Archioka* – prawdopodobnie Ortaköy, dziś dzielnica Stambułu. [przypis edytorski]

<sup>79</sup> *Oczaków* – miasto portowe, dziś na terenie Ukrainy; założone w starożytności jako kolonia Miletu; w XV–XVIII w. było pod panowaniem polskim i tatarskim. [przypis edytorski]

<sup>80</sup> *z Konaszewiczem Warnę spalił* – w latach 1613–1620 Kozacy pod wodzą Konaszewicza-Sahajdacznego złupili i spalili porty tureckie nad Morzem Czarnym: Warnę (dziś Bułgaria), Synopę (w środkowej części Turcji), Oczaków (dziś Ukraina) i podpalił i spalili nawet przedmieścia samego Stambułu. [przypis edytorski]

<sup>81</sup> *Stanisław Koniecpolski herbu Pobóg* (1591–1646) – hetman wielki koronny, kasztelan krakowski, uważany za jednego z najwybitniejszych polskich dowódców. Brał udział w wielu walkach z Tatarami i Turkami, spędził trzy lata w niewoli w Stambule, wykupiony, był głównodowodzącym w wojnie przeciw Szwecji. Był bardzo ceniony przez króla i szlachtę, a do Kozaków odnosił się z ostentacyjną pogardą, co wywoływało ich nienawiść i szacunek jednocześnie. [przypis edytorski]

<sup>82</sup> *choroszyj* (ukr. *хоросий*) – dobry. [przypis edytorski]

hojny i sam żołnierz wielki; ale cóż, sam on teraz w nieszczęściu; kto wie, czy jeszcze żyje, może go już Turcy w Czarnej Wieży udusili, może na haku wisi, jak książę Dymitr<sup>83</sup> sławnej pamięci!

– A czemuż wy, Semen, nie ratujecie ojca? – pytam Kozaka.

– A co by ja tu był u was robił, gdybym ojca ratować nie chciał! A po co mnie było wybierać się tu, aż pod Sambor? Ja Kozak wolny, nieposłuszny, nigdy ja panom nie służywałem, a tak przecie wziąłem służbę u pana Samuela Koniecpolskiego, dlatego że to Koniecpolski, bom sobie tak dumał, że on mi ojca wykupi z rąk pogańskich, bo go także zna i wie o nim; od swego krewniaka wie i od innych panów rotmistrzów wie. Ale to już nie taki pan, jak Stanisław, i nie taki żołnierz, choć z jednego rodu i z jednej krwi. Ot, jak to powiadają: z jednego drzewa krzyż i łopata! Czekałem na niego i doczekać się go nie mogłem: byłbym przecie czekał jeszcze dłużej – ale Bóg mi dał w ręce Kara-Mordacha i już teraz nikogo nie potrzebuję. Wiem ja już, co robić, i jak ojca ratować!

– A macie pewność, że wasz ojciec żyw jeszcze między Turkami? – pytam Semena. – Może już zabit!

– Zabit! – woła na to Semen. – Turcy go pewnie nie zabili! Oni radzi, że go żywego mają, aby najdłużej: oni go sobie na wagę złota kładą. Trzeba ci wiedzieć, że mój ojciec to sławny puszkarz; głośny po świecie, hen, na całą Ukrainę. Drugiego takiego nie znaleźć, chyba w niemieckich krajach.

Chciałem się pytać Semena, co to jest puszkarz, bo wtenczas tego nic wiedziałem, ale on jak gdyby zgadł, że tego nie rozumiem, rzecze dalej:

– Albo wiesz, co to jest puszkarz? Pewnie nie wiesz! Ot, co, piętnasty rok chleb je, a durny, o puszkarczyku nic słyssał! Ale o armatach słyssałaś, o działach, jako wy w Polsce nazywacie? Puszkarka a dział to jedna rzecz. Mój ojciec umie koło armat chodzić, jak nikt nie umie... Jak nastawi, wymierzy, wyceluje, wypali, to kula ani na piędź nie chybi; jak chce komu urwać głowę, to urwie jak nic. Ja tak z łuku strzelić nie umiem, jak mój ojciec z puszkarki! Jego kule słuchają; tam każda leci, kędy ją poszle, jak Kozak z listem. Ale to jeszcze nie wszystko, chociaż to bardzo wiele. Mój ojciec sam umie puszkarki robić. Umie on ułać ze spizru taką okrutną armatę, że chłop w nią wlezie, a jak z niej strzelą, to ziemia się trzęsie, a kula z niej wieże i mury wali, w kupę kamieni je obraca. On i dzwony łać umie, a jakie! Jak zadzwonią, to jakoby ze szczerzego srebra były; jak się rozhuczą, to aż się serce raduje; głos po polach i stepach milami płynie, do nieba bije... bam! całe powietrze gra i śpiewa! Może kiedyś usłyszysz taki dzwon, co go ojciec łał, albo zobaczysz taką puszkę jego roboty; czemu nie? U Nalewajki była jedna, wzięli ją wasi do Krakowa. A na każdej puszcze i na każdym dzwonie napisano ładnymi bukwami: OPANAS – bo memu ojcu Opanas na imię. To jakże takiego majstra Turcy by zabijali? On żyje, ale gdzie? Bóg zna. Może w Chocimiu, może w Benderze, może w samym Stambule koło puszek robić musi, na pożytek pogan, a na zgubę i kozacką, i laszą<sup>84</sup>. Ale ja go znajdę, koniecznie znajdę, jak Bóg na niebie! Teraz już wiem, jak, i mam, czego mi trzeba.

– A to obdarliście pewnie Żyda Mordacha, Semen – zawołałem – macie teraz dużo złota na wykup...

– Obdarł, nie obdarł – mówi Kozak – miał, psi syn, na sobie trzos pewnie pełny dukatów; nie wziąłem ani jednego. Ja szukał czego innego i tak Bóg dał, zem znalazł. I dlatego nie dbałem już o jego pieniądze.

– A co to było? – pytam.

– Patrzcie owo, skąd ty taki wziął się ciekawy! To było coś, co więcej warte złota, niżby go był mógł udźwignąć na sobie Kara-Mordach, choć widziałeś, jaki chłop! To było to, co zgubiło mego ojca!

– A mówiliście, Semen, że ojca nie co innego zgubiło, tylko zdrada żydowska.

---

<sup>83</sup> *Dymitr Wiśniowiecki Bajda* (zm. 1563) – książę ukr., wódz kozacki, przywódca wielu wypraw łupieskich przeciwko Turkom i Tatarom. Uważany za jednego z założycieli Sycy Zaporoskiej, bohatera kozackich pieśni. W 1563 r. próbował wpływać na wybór hospodara wołoskiego, wpadł w pułapkę i został przewieziony do Stambułu, a tam stracony. Według podań ludowych, powieszony na haku za żebro, jeszcze przez trzy dni strzelał z łuku do swoich oprawców i nawet zranił samego sultana. [przypis edytorski]

<sup>84</sup> *laszy* (daw. ukr.) – polski. [przypis edytorski]

– Ale zdrada z tego poszła, że ojciec miał to, na co Żyd był łakomy jak wilk na barana, a czego kupić nie mógł, bo ojciec wiedział, co to warte. Widzisz bo, mołojczyku, u nas tak się dzieje: Idzie Kozak na wyprawę, na chadzkę, czajkami płynie na turskie brzegi, pali grody i zamki, łupi miasta, zabiera Turkom wielkie skarby – każdy z mołojców wraca z bogatą zdobyczą, ale cóż, kiedy zdobyczy sprzedać nie umie, a czasem i nie może. Jak zdobył gotowe pieniądze, aspry<sup>85</sup>, lewki<sup>86</sup>, piastry<sup>87</sup>, czerwone złoto<sup>88</sup>, to rzecz łatwa: na pieniądze nie trzeba kupca. Ale jak z chadzki wrócą z drogim towarem – z złotogłowiem, kobiercami, koralami, naczyniem złotym i srebrnym, bo naród turski bogaty i w zbytkach się bardzo kocha – co z tym robić? Sprzedać. A komu Kozak sprzeda? Niechże sam próbuje pójść z tym do miasta albo do dworu, między kupcy czy między pany – oho, dobrze się wybrał! To właśnie tak, jakby własną głowę na targ poniósł. A skąd to masz, a kędyś zrabował? a kogoś zabił? Odbiorą, kijem napędzą, i to najlepszy jeszcze koniec: rad bądź Bogu i dziękuj, że cię do tarasa<sup>89</sup> nie dadzą, na męki nie wezmą, abyś prawdę wyśpiewał, a czasem i nie powiesz! A przecież to Kozak szablą zdobył, i na kim? Na psim synu, na poganinie, niewiernym wrogu Chrześcijaństwa: a przecie Kozak krwią swoją zapłacił, krzywdy się tylko pomścił, bo ano, ile to narodu, ile złota, ile srebra z cerkwi świętych nie biorą Turcy i Tatarzy! Czy to sprawiedliwość? Ale cóż robić, tak ono już jest. Tedy rad nierad Kozak musi sobie zachodzić z Żydem, z Ormianinem, z Wołochem, co na takie kupno łakomy, ale najczęściej z Żydem. Tak i z tym Kara-Mordachem bywało. Po każdej chadzce przyjeżdżał szelma do nas i kupował; za byle co kupował, dziesiątej, setnej części tego nie dał, co rzecz warta, ale ojciec niegłupi, wiedział, co za skarb rzadki ma, że i sto takich Żydów wytrząść, a tyle grosza nie wytrzęsiesz. O jedno Mordachowi chodziło, jak diabłu o duszę, a tego dostać nie mógł. Zwabił ojca niby do bogatego kupca, co jakoby z Moskwy umyślnie przyjechał, przedni sługa carski. Ten pewno kupi, dla samego cara gosudara do Kremla kupi. Mój ojciec znał z dawien dawna Mordacha, handlował z nim długie lata, uwierzył. Pojechał z Żydem na granicę wołoską, wpadł w zasadzkę, Mordach zabrał mu wszystko, co było przy nim, a samego Turkom wydał i jeszcze zapłacić sobie kazał, bo im puszkacza naraił, jakiego na świecie szukać... Ot, widzisz, tak to było.

Chwilę Semen milczał i chmurno przed siebie patrzył, jakby dumał nad tym, co się stało, i nad tym, co się jutro stać może, a nagle zawołał:

– Dosyć tego gadania; wiesz więcej, niż ci wiedzieć potrzeba, ale tego właśnie nie wiesz, po com cię tu wołał. Mnie czas w drogę. Przysięgłeś na Krzyż Święty i pod wielką klątwą, a kto takiej przysięgi nie dotrzyma, będzie od Trójcy św. oddzielony i na miejsce Judasza powołany. Słuchajże teraz i uważaj! Widzisz tę rozpadlinę w skale?

– Widzę.

– Stań plecyma do skały, oprzyj się o nią, tak abyś sobą przykrył rozpadlinę.

Zrobiłem tak, jak Semen chciał.

– Patrz teraz naprzód, prosto przed siebie, jak strzelił; dziewięć kroków zrób, ale dużych, dobrze rozsadzaj nogi, boś ty mniejszy ode mnie.

Zrobiłem dziewięć kroków.

– Teraz uklęknij na jedno kolano.

Ukląkłem – a Semen przystąpił do mnie, przysiadł i ziemię koło mego kolana dobrze oglądnał.

– Tak dobrze, wraz dobrze, jak strzelił. Czy widzisz co na ziemi, znak jaki, ślad jaki?

– Nic takiego nie widzę – odpowiedziałem.

– Słuchajże! w tym miejscu, na którym jest teraz twoje kolano, zakopałem to, co mego ojca zawiodło w jasyr, co Mordacha wydało na moją zemstę, co już przedtem i mnogiej krwi, i mnogiego

<sup>85</sup> *aspry* – daw. drobne monety tureckie. [przypis edytorski]

<sup>86</sup> *lewki* – monety z wizerunkiem lwa, bite w wielu krajach (dziś nazwę *lew*, *лев*, nosi waluta Bułgarii). [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *piastry* (z wł. *piastra*: blaszka) – drobna moneta w krajach Bliskiego Wschodu. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *czerwone złoto*, częściej *czerwony złoty* – dukat, polska moneta ze złota, warta ok. 5 złotych srebrnych. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *taras* (tu daw.) – więzienie, loch (por. *zatarasować*). [przypis edytorski]

nieszczęścia było przyczyną. Tego Persa, co to przyniósł był aż z indyjskiej ziemi, struł jeden Ormianin, tego Ormianina udusili trzej Greczyni w Białogrodzie, tych Greczynów utopić kazał basza jędropolski, tego baszę zabił ataman Łoboda, Łobodę rozsiekali mołojcy, aż się to dostało memu ojcu, a ojciec usycha teraz w pogańskich łykach... Kiedybyś chciał wziąć, com zakopał, to i ciebie spotka nieszczęście i zguba!

– A ty tego nie weźmiesz? – pytam Semena.

– Wezmę, na tom zakopał, abym wziął. Ale teraz brać się boję, bo mnie wywołali już wszędy dokoła za tego Mordacha jako zabójcę; muszę się dobrze pilnować, abym uszedł zdrowo. Nosić to przy sobie niebezpieczno; można zgubić, można przez złodzieja postradać. Ale jak z wywiadów powrócę i będę już na pewno wiedział, gdzie mój ojciec, w jakim zamku, u jakiego baszy, przyjdę tu albo drugiego do ciebie przyszłę, a ty temu wiernikowi, co przyjdzie w moim imieniu, pokażesz miejsce, gdzie ma kopać.

– A jakoż ja go poznam i jako mu dam wiarę? – pytam ja na to.

– Otóż tak; teraz mi się podobasz, mołojczyku! – zawołał Semen. – Czekałem tylko, czy się zapytasz; sława Bohu, żeś się zapytał! Bo teraz wiem, że masz rozum. Słuchaj i spamiętaj: Jak kto przyjdzie do ciebie, czy to będzie stary, czy młody; czy chłop, czy baba; czy sługa, czy pan; czy czerniec<sup>90</sup>, czy żołnierz; czy w łachmanach i z torbą dziadowską, czy w sajecie<sup>91</sup> i przy bogatej szabli – wszystko to jedno – jeżeli ktoś przyjdzie do ciebie i uderzy cię dłonią po lewym ramieniu i powie te słowa:

#### Oko Proroka Synopa Archioka

to ty mu odpowiesz: *Musztuluk!* On ci na to ma powiedzieć: – „Bedryszko cię pozdrawia” – a wtedy masz go zaprowadzić na tę polanę, pokazać mu to miejsce, które znasz; niech wykopie i idzie z Bogiem, a tym masz milczeć o tym jako grób! Powtórz słowa!

– *Oko Proroka, Synopa Archioka, Musztuluk!* – powtórzyłem, i to kilkanaście razy, póki Semen nie uwierzył, że nie zapomnę.

– A teraz w drogę! – zawołał Semen i ruszyliśmy nazad tym samym szlakiem, i znowu po drodze kładł mi w pamięć wszystko, po czym miałem się rozeznąć, aby nie zabłądzić i trafić do onej skały na polanie.

Kiedy już stanęliśmy w czystym polu, Semen uściskał mnie, pocałował w oba policzki i rzekł:

– Zostań zdrow, Hanusz, pomagaj ci Boże! A jak się zdarzy szczęście, wrócę i wezmę cię z sobą na Sicz, na porogi<sup>92</sup>, i nie będziesz się nazywał Hanusz, ale Iwaszko, i będziesz z nami hulał i na Turków chodził! Boś ty łepski chłopak, wart być Kozakiem! Zostań zdrow!

Jam go z rzewnością serca także jakby brata ucałował i pytam:

– A koń kędy?

– A kędyżby był? Jest, czeka na mnie, zaraz on tu będzie! – i włożywszy palec w usta, świsnął dwa razy krótko a przeraźliwie.

Za małą chwilę usłyszeliśmy kopyta w polu i koń nadbieżał do swego pana, rżąc radośnie. Semen skoczył w siodło i jak wiatr popędził przez pola ku drodze.

Smutny wracałem do chaty, bom stracił przyjaciela, a w duszy czułem jakoby wielką ciężkość, bo ta cała rzecz tajemna, którą mi zwierzył Semen i na którą mi przysiąc kazał, tak mnie ugniatała, jakoby młyński kamień. Robiło mi się straszno, że teraz powiernikiem wielkiego sekretu, którego

---

<sup>90</sup> *czerniec* (z ukr.) – mnich prawosławny. [przypis edytorski]

<sup>91</sup> *sajeta* (daw.) – cienka, kosztowna tkanina wełniana. [przypis edytorski]

<sup>92</sup> *porogi*, właśc. *porohy* (ukr. *nopozu*) – progi wodne w dolnym biegu Dniepru, dziś już nieistniejące grzebienie skalne w poprzek nurtu rzeki, które sprawiały, że Dnieprem mogły pływać łodzie tylko bardzo doświadczonych żeglarzy, przeważnie Kozaków. [przypis edytorski]

sam nie znam, i jakoby stróżem czegoś, czegom nie widział, a co musi być i wielkim skarbem, i przeklętą jakąś rzeczą, skoro tyle krwi i nieszczęścia na tym było. Wchodzę na podwórze i widzę, matka stoi u drzwi i woła:

– Hanuszek, tyżeś to? Kędyż ty biegał po nocy?

Musiałem matce opowiedzieć, że mnie Semen wywołał, i że w cichości się wymknął, nie chcąc jej budzić, że Semen chciał się tylko ze mną pożegnać i że mu wyniosłem pistolety.

– A czemuż cię taki czas nie było – rzecze matka – zbudziłam się za szelestem i patrzę, a ciebie nie ma. Coś ty tak długo robił z Kozakiem?

– Odprowadziłem go do konia, którego zostawił był pod lasem.

– I więcej nic? – pyta matka.

– Więcej nic.

Dobrze, że to noc była, bo inaczej matka byłaby widziała, jak oczy spuściłem ku ziemi i jak mi rumieniec twarz oblał. Nie uczył mnie nikt kłamać, jakoż i kłamać nie umiałem, ale teraz skłamałem po raz pierwszy w życiu, i to przed własną rodzicielką. Markotność wielka mnie zdjęła i skrucha; było mi tak, jak żebym doznał nieszczęścia. Do świtu jeszcze było dość daleko – położyłem się i usnąłem. Już słońko wysoko stało na niebie, kiedy się obudziłem, i zdało mi się jakiś czas, że to wszystko co się stało, tylko snem było i nocną marą. Zacząłem się prędko zbierać, kiedy wchodzi matka i rzecze:

– Słuchaj no, Hanuszk, ludzie we wsi głoszą nowinę, że ten Żyd jeszcze żyje i że to jest bardzo znaczny kupiec, sługa i wiernik różnych książąt i wojewodów, którzy się o niego wezmą. Semena już wszędy aż po Lwów i Przemyśl wywołano, z zamku samborskiego wysłano pogoń w różne strony, aż ku granicy węgierskiej: hajduków, smolaków<sup>93</sup>, żołnierzy. Na głowę Semena nałożono 1000 złotych. Pogoniło wielu żołnierzy i chłopów na ochotnika imać złoczyńcę, nawet podstarości z hajdukiem Kajdaszem wyjechali o świcie w pościg.

I mówiąc to patrzyła matka na mnie przenikliwym i przestraszonym wzrokiem, a ja ukląknęłam niby do mówienia rannego pacierza, ale słowa utykały mi w gardle, a serce mi kołatało, jak gdyby mi kto młotem tłukł pod żebrami.

---

<sup>93</sup> *smolak* – najemny strażnik, walczący z rozbójnikami, opłacany przez państwo lub miejscowego pana. Wielu smolaków rekrutowało się pomiędzy dawnych zbójników. [przypis edytorski]

## IV. Idę w świat

Nie darmo to mówi przysłowie, że klin klinem się wybija. Wlazła mi w głowę prawdziwym klinem historia Semena i ta jego tajna rzecz zakopana w lesie, której ja miałem być niemy stróżem i wiernikiem, i o niczym już myśleć nie mogłem, jeno o tym i o tym bezustannie. Ale znalazł się rychło klin drugi, a taki ostry i bolesny, że nie tylko jakoby rozłupał mi głowę, ale i serce przewiercił głęboko jak nóż zbójcecki. Mój ojciec miał powrócić z owej tureckiej furmanki najdalej w sierpniu, a tymczasem owo i wrzesień końca dobiegał, a ojca jak nic było, tak nie było.

Strach o ojca i frasunek wielki nastał teraz w naszej chacie – matka płakała dniem i nocą, a ja w żalości mojej ani jej pocieszyć, ani sobie dać otuchy nie umiałem, zaś ludzie we wsi miasto<sup>94</sup> nam dodać serca i nadziei – to jeno się litowali nad matką, nawiedzali ją jakoby po nieboszczyku i ciągle prawili, jako to z turskiej ziemi teraz mało kto wraca, bo tam zawsze srogie rozruchy i krwi ludzkiej przelewanie, i że z wolą Bożą trzeba się pogodzić i na msze święte dawać za duszę ojca, „bo – mówią matce – gdyby wasz żył, toby znać o sobie dał nawet z turskiego więzienia, a tak pewno bez księdza między poganami marnie zginął”. Na domiar złego jedyny nasz krewny i opiekun, wuj kantor, umarł z gorączki, zostaliśmy teraz sieroty.

Chodziliśmy z matką do Sambora, do pana Zybulca, kupca, co trzymał skład węgierskiego wina i miał handle z lwowskimi Ormiany, prosimy go, aby pisał, czyli czego nie wiedzą o tej karawanie, z którą ojciec jechał: on też pisał zaraz, ale odpisano, że tam także między tymi Ormiany, co mieli albo krewnych, albo towar w onej karawanie, wielka jest trwoga i umartwienie, bo żadnej wieści nie mają.

Wtedy to, w tym ciężkim czasie, przeświadczyłem się dobrze, że nad samą srogość ludzkiego nieszczęścia gorsza bywa ciągła niepewność, kiedy to dusza człowieka, jakoby zawieszona między żalością a nadzieją, szarpie się w udręczeniu, a myśli biją się z sobą, a która z nich najsmutniejsza, ta zawsze najmocniejsza. A mnie i mojej matce tak było, jak gdyby ojciec co dzień w naszych oczach umierał, a co dzień inną śmiercią: to od powietrza, to od dzikiego zwierza pustyni, to od ręki zbójceckiej; i co dzień znowu żyw wracał: to jako człek zdrów i wesół, to jako kaleka i żebrak, to jako znędzniały jeniec, wykupiony z rąk pogańskich. I tak w tym udręczeniu czas mijał, a jak gdyby tego nieszczęścia było za mało, przyszło drugie, z woli i z ręki złego człowieka.

Już swego czasu mówiłem, jako to było z naszym sołtystwem czy też wolnictwem, i jako się ojciec bronił od napaści ludzkiej. Na św. Michał miał zapłacić podstarościeму 100 złotych, i już go mieli zaniechać i zostawić spokojnie jak na dziedzictwie. Termin dawno minął, ojciec przepadł bez śladu, o owej confirmacji, którą król obiecał w Janowie, ani słyhać było – owo zguba nasza ostateczna. Kazano nam wynosić się z naszej własnej majątności, gwałtem nas wyrzucono. Matka się broniła, wołała pomocy boskiej i ludzkiej, biegała, biedna, na zamek samborski, błagała, na progu się kładła, wzywała pomsty niebieskiej na krzywdzicieli sierot, na tych zbójów nieludzkich i wydzierców cudzej pracy, że lepszych po szubienicach wieszają – nie pomogło nic, tak od razu, za jednym rozmachem, z dziś na jutro, w dziady nas obrócono. Jam już był otrok<sup>95</sup> duży i gdyby po mojej woli szło, byłbym siekierą ojcowskiego chleba bronił, z łuku Semenowego strzelał, podstarościego i hajduka Kajdasza pewno zabił i sam się zabić dał – ale matka broniła mi tego: „nie pomożesz – mówi – a siebie i mnie zgubisz”.

Tak to znieść musieliśmy. Ale mnie się zdało, że jadłowitą żmiję połknął i pod sercem ją jeszcze żywą noszę, bo i serce, i duszę miałem zatrute; na niebom patrzył, czy się nie rozewrze i czy ognisty piorun z niego nie padnie na głowy tych zbójów; zrozumieć nie mogłem, że słońko nie gaśnie nad takim światem, na którym sprawiedliwości nie ma i pomsty na złoczyńców.

---

<sup>94</sup> *miasto* (tu daw.) – zamiast. [przypis edytorski]

<sup>95</sup> *otrok* (daw.) – chłopiec, chłopak. [przypis edytorski]

A Bóg gdzie? A król gdzie? Bóg jest wiekuisty i tajne są Jego wyroki, sprawiedliwość Jego może być nie z tego świata. Jego pomsta znajdzie grzesznika i poza ziemskim żywotem; Bóg jest nierychliwy, ale sprawiedliwy. Ale król gdzie? Jego majestat jest z tego świata, jego moc jest ziemską, on taki śmiertelny, jako i ja, chłopiec mizerny – on powinien być rychliwy w sprawiedliwości swojej, bo tyko tu na ziemi sądzić i karać może, a po śmierci sam sądzon i karan będzie.

Kiedy ojciec mój opowiadał, jako mu król Zygmunt w Janowie obiecał confirmację sołtystwa i jako go swoim królewskim furmanem – *aurgia regius* – mianował, to ja był pewny, że już nie ma takiej mocy ludzkiej na świecie, co by na nasze dziedzictwo godzić śmiała. A tu ani hetman żaden, ani wojewoda, ale podstarości i sługa hajduk okazali tego!

Gdybym był królem, tobym jeździł po całej ziemi polskiej, a miał przy sobie wielki hufiec zbrojny, tysiąc takich husarzy, jakich w Samborze widziałem, w stal zakuty, z szumnymi skrzydłami z piór żurawich na barku, że każdy z nich wygląda jak św. Michał Archanioł z ołtarza naszego kościółka, i kazałbym ścinać głowy wszystkim, co mordują sprawiedliwość, tak aby i najmocniejszy truchlał, a radowała się cnota, i każdy ubogi człek bezpiecznie pożywał się swoją pracą.

Buntowała się we mnie dusza, żalowałem i wstyd mi było, że nie taki, jak Kozak Semen, co się niczego nie bał i nikogo, ani popa, ani starosty, ani króla, i mawiał, że najlepsze prawo pisze szabla, a kula w łeb to lepsza pieczęć niż pana kanclerzowa, i że lichy to człek, co się o swoją krzywdę nie weźmie. Ale pamiętam także, jako Semen często dumkę jedną śpiewał, a zawsze się w niej powtarzały słowa:

*Terpyty, terpyty,  
Z Bohom sia ne byty!*<sup>96</sup>

Ot, co! Cierpieć, cierpieć, a z Bogiem się nie bić! A ja się będę z Bogiem bił? A ja się będę z królem bił? Poczekam, urosnę, nabiorę mocy i rozumu, a wtedy bić się będę, ale ze złymi ludźmi tylko, z podstarościm i z Kajdaszem, a może Bóg da, że się na nich krzywdy pomszczę. A teraz to trzeba bić się z biedą. I tak mi się zdało, jakoby wśród tego nieszczęścia stał się naraz doświadczone<sup>97</sup> człowiekiem, a co było we mnie z dziecka, to opadło, gdyby kwiecie z jabłoni.

Miły Boże, żeby to wszystko tak rosło, bez słońca, bez rosy, jak bieda rośnie! Ledwie się przez okienko wciśnie, a już ona gospodyni jest w chacie, wszędy wlezie, wszędy zagładnie, z każdego kąta jeno długie zęby do człeka szczyrzy, tak jakoby mówiła: jak zjem wszystko, co masz, to i ciebie zjem! Słońca do chaty nie puści, wesele z niej wygania, za plecyma ci siedzi, ognisko studzi, w nocy sen odbiera, a jak śpisz, to i we śnie zmorą cię dławi, z łokci dziurawych wyłazi. Z oczu ci świeci, z jednej miski z tobą jada i twoim głodem się pasie, coraz mocniejsza, coraz czarniejsza.

Takiej biedy i my zaznali teraz. Sprowadziła się matka, wczoraj jeszcze sołtysowa i gospodyni dziedziczna, a dziś biedna komornica, do sąsiadki jednej, ubogiej wdowy; mieszkaliśmy tam w ciasnocie i nędzy. Kiedy nas po zbójce wyrzucono z naszej zagrody, zagrabiono nam cały dobytek gospodarski: krówki, zboże, statek, „bo – rzecze podstarości – bezprawnie na cudzym tu siedzieliście tyle lat, za zaległy czynsz to wszystko pójdzie na skarb królewski”.

To, co zabrać pozwolili, to były tylko graty mizerne, szczebrzuch ubogi, świąteczna odzież matki i ojca. Wszystko tośmy pomału sprzedali i zjedli przez zimę, a gdy nadeszła wiosna, trzeba było myśleć o tym, jako żyć dalej. W Podborzu zostać matka nie chciała, bo i zarobku znaleźć tu nie mogła, i zostać niebezpiecznym było, bo się hajduk Kajdasz odgrażał, że nas na pańskie wypędzać będzie. A tymczasem on sam, niecnota, sprowadził się do naszego obejścia jakby do własnego dziedzictwa, bo na to też praktyki z podstarościm miał i dla niego to nas wywłaszczono.

<sup>96</sup> *Terpyty, terpyty, z Bohom sia ne byty!* (ukr. gw.) – wytrzymać, znosić los, z Bogiem się nie bić. [przypis edytorski]

<sup>97</sup> *doświadczone* (daw.) – dorosły, dojrzały. [przypis edytorski]

Miała matka bliskiego krewniaka w Strzałkowicach pod Samborem, tkacza, do niego się przenieść umyśliła, i ja miałem tam zostać i tkactwa się uczyć. Przenieśliśmy się do Strzałkowic, ale mnie tkackie rzemiosłocale się nie podobało i pozwoliła mi matka szukać chleba przy jakiej żupie, bom umiał czytać i pisać, a taki łatwiej przy warzelni i Czechrynach znajdzie zarobek, jako że kwotnicy solni zawsze piszącego do rachunku beczek potrzebują. Po wuju, kantorze Walentym, zostało nam trochę odzieży i mała książeczka do modlitwy, a była to *Officium, czyli Godzinki do Anioła Stróża*. To była wyprawa moja cała; zrobiłem węzełek, pożegnałem się z matką z wielkim jej płaczem i moim, a tak z kosturkiem w rękę, z węzełkiem na plecach, z jednym złotym w rękę, samymi groszami w mieszku i z *Godzinkami do Anioła Stróża* w kieszeni, ruszyłem w świat Boży. Łuk Semenowy i łubie ze strzałami, że mi matka broniła brać ze sobą, „bo – mówi – jako Tatar pójdziesz i jeszcze napaści sobie jakiej przydybiesz”, wyniosłem był już przedtem daleko za chatę ukradkiem i wzdę go z sobą wzięłem, na troczkach łykowych dobrze uwiązawszy przez ramię: w czym, choć nieposłuszny byłem matce, przecież, jako się pokaże, słuszna rzecz była, bo owo potem w potrzebie jako przyjaciel mi stanął.

Miałem iść do Soli pod Dobromilem, bo tam była duża warzelnia, ale zamiast wziąć się tam prostą drogą, umyśliłem pójść przedtem do Podborza, a to z tej przyczyny, że skoro miałem, kto wie na jak długo, porzucić te strony, chciałem jeszcze raz być na „Semenowej polanie”, bo tak sobie ją nazwałem, drogę do niej przez las raz jeszcze wbić w pamięć, miejsce ono tajemne opatrzyć, a także i ludziom podborskim powiedzieć, gdzie mnie znaleźć będzie można, gdyby kto o mnie pytał. A miałem w tym Semenę na myśli, bo nuż wróci albo wiernika swego przyszłe, to jak się mnie dopytać?

We wsi mnie powitano jak dziada, z podwinkami i urąganiem. Poznałem, jaki to bieda gorzki chleb piecze. Co kogo pozdrowię grzecznie, po ludzku, z uchyleniem kapelusza: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” – a on do mnie na to:

– Ehe! Hanusik, pan-sołtys! A co ty po sołtystwo twoje przyszedł!

– Z łukiem idzie – mówi inny – zbrojno, hej? Sołtystwa dobywać będzie!

Nigdy ja tego rozumieć nie mógł, dlaczego się ludzie cieszą z cudzej biedy i nieszczęścia, nawet kiedy takiego trafi, co ci nie był wrogiem, a owszem, czasami dobroć tobie świadczył: dlaczego właśnie i drugich za łeb weźmie? A z czegoż tu uciecha? Jakaś ty biedny, a drudzy także zbiednieją, toś ty przez to nie bogatszy, owszem biedniejszy jeszcze, bo ano kto cię wspomůže, kto ci da zarobić, przy kim się zawieszysz? To właśnie tak, jak gdyby cieszył się ślepiec, że owo inni, co koło niego byli, także całe poślepli – a któż go będzie wodził, kto mu da łyżkę do ręki i bodaj wody poda?

Spotkałem nareszcie jedną dobrą duszę, kulawego Matyska, co u nieboszczyka wuja kantora służył, a teraz przy plebanii wisiał, za samą strawę bez przyodziewka. Ciekawy był bardzo chłopiec, ten Matysek, i do wszystkiego sprytny. Na skrzypcach dobrze grywał, przeróżne piosenki śpiewać umiał – i ksiądz pleban zwał go rybałem, a za księdzem i ludzie, bo po weselach z skrzypcami chodził, po kolędach biegał, miesopustne<sup>98</sup> maskary robić umiał i fraszki wesołe wyprawiał. Nieboszczyk wuj czytać go i pisać po trosze nauczył, ale że biedy nie wystraszyś abecadłem, a Matysek był ubogi sierota, tedy poszturkiwał nim, kto chciał, a kiedy nas wypędzano z wolnictwa, tedy on stracił ostatniego przyjaciela i ostatni ratunek, bom ja go bardzo lubił, a matka zawsze go spomagała, jako mogła.

– A co u was słyhać, Matysku? – pytam go.

– A co by słyhać miało? – odpowiada – psy słyhać, jak szczekają, i ludzi, jak płaczą.

– A tobie jako się dzieje?

– Tak się dzieje, że ani się odzieję, ani się nadzieję, a mam tylko nadzieję, że się raz przecie gdzieś stąd podzieję, bo tu w Podborzu już nikt nie wytrzyma. A wy co robicie teraz z matką, Hanusik?

<sup>98</sup> miesopustny (daw.) – karnawałowy. [przypis edytorski]

– Widzisz, Matysku, tyś pierwszy, co tu ze mną po ludzku gadasz, a inni mnie jako powsinogę witali. Taki ja dzisiaj biedny, jako i ty, to nami gardzą.

– Ej, co tam – rzecze Matysek – wszyscyśmy ludzie, tylko ksiądz pleban człowiek! Gardzą, nie gardzą, a ja sobie pan. Bom ja królewicz niebieski, tak jako i ty.

– A pleciesz, Matysku, pleciesz! – mówię ja śmiejąc się.

– Albo nie tak? Jużci, że wierę tak. Ksiądz pleban co niedziela obiecuje mi z ambony królestwo niebieskie po śmierci, a to nim to królestwo posiądę, tom ja za życia jest królewicz.

– Żart żartem, ale go już dosyć, Matysku – mówię na to – powiedźże mi bez żartów, co u was słyhać?

– „Im dalej, tym gorzej – mówiła baba, jak leciała z dachu”. Co by słyhać?! Bieda i zniszczenie ludzkie. Podstarości ludziom coraz cięższy, że już jeden i drugi przemyśliwa, jak grunt porzucić i gdzieś na dalekie Podole wykoczować, a hajduk Kajdasz w waszej chacie siedzi, na ławie przed wrotami w słońcu się wygrzewa jak wieprz, jeno czarnym łbem potrząsa i długie wąsiska kręci, słoninę wędzoną je i piwo łyka, a brzuch mu rośnie i rośnie, że jedno daj Boże, aby się wrychle rozpekł. Teraz nowe zniszczenie wymyślili, pędzą ludzi do lasu, budy robią, będą popioły palić.

– A co to są budy i na co popioły palić będą? – pytam Matyska.

– Tom i ja przedtem nie wiedział, co to za rzecz, dopiero teraz pierwszy raz widzę. Przyjechali kupcy ze Lwowa, same Niemcy, starszy między nimi Hayder się zowie, zakupili u pana starosty Koniecpolskiego wolność na budy w lesie. Będą rąbać drzewa, kopać piece, układać stosami, a potem palić popioły, ługować i robić z tego potaż<sup>99</sup>, a ten potaż powiozą na spław na Jarosław do Sanu, a Sanem do Wisły, a Wisłą, hen, daleko, do samego Gdańska. Już zaczęli w kilkanaście siekier; Kajdasz z harapem plecionym chodzi, trzaska nim i wrzeszczy, ubogi ludek do lasu pędzi.

– A w którymże to miejscu?

– Widzisz tam – pokazał palcem Matysek, prowadząc mnie na pagórek.

– Masz tobie – pomyślałem w duchu, bo Matysek właśnie w tę stronę pokazywał, kędy my z Semenem przebierali się nocą do polanki – a nuż i tam trafią!

Ale nie pokazywałem tego przed Matyskiem, jeno mówię dalej:

– Mój Matysku, mam ja do ciebie prośbę; wiem, żeś ty dobra dusza i zawsze nam był zyczliwy. Trafić się może, że tu o mnie albo o matkę pytać się będą; może o ojcu jaka wieść przyjdzie, może i sam ojciec jeszcze wróci – kto wie. Bóg miłosierny i dziwnie się zdarza na świecie; może też ze Lwowa do Ormian przyjdzie jakie pisanie, może od Kozaka Semena ktoś mnie szukać będzie, bo ja mam jeszcze jego kobzę u siebie – tedy abyś o tym wiedział i wszystkim mówił, że matka moja jest w Strzałkowicach u tkacza Sebastiana, a ja będę w Soli, przy żupie na robocie. Może i pan Serebkiewicz, co ojcu tę niegodziwą furmankę naraił, przekazywać co będzie, a może i z zamku co przyjdzie...

– A może i Król Jegomość dopytywać się o ciebie będzie – rzecze, żartując znowu Matysek – a co jemu powiedzieć?

– Może i sam Król Jegomość – odpowiem, obracając żart w prawdę – co wiedzieć? Bo przecież obiecał ojcu dać konfirmację na sołtystwo. Boże mój, Boże, a nużby królewski dekret przyszedł!

– A ma ten dekret nogi? – pyta Matysek. – Bo jak nie ma, to sam nie przyjdzie.

– Matysku – rzekę, już zły – takiś wykrętniczek, że gadać szkoda do ciebie. Ja do ostatniej nędzy przyszedł, serce mi się pada od żałości, a ty sobie jeno śmieszki stroisz!

– „Czart swoje, a baba swoje”, jak mówią Rusini – odpowiada Matysek – ale masz wiedzieć, że ja tak nie z swawoli tylko mówię. Widzisz, bo ja się na tym nie znam, ale podsłuchałem, jak ksiądz pleban i pan chorąży o konfirmacjach mówili. Albo ty wiesz, czy król dał dekret, czy nie dał? A może dał, to i tak tobie z tego piskorz, skoro o nim nie wiesz. Po konfirmację albo trzeba iść do kancelarii królewskiej, albo trzeba wiedzieć, kędy ją wysłano, na czyje ręce. Król do was przez osobne posły

---

<sup>99</sup> potaż (z hol. *pot*: garnek; *asch*: popiół) – popiół drzewny, używany w różnych gospodarczych czynnościach. [przypis edytorski]

dekretu nie wyprawi; albo dekret czeka w Krakowie na was, a wtedy nic sobie z tego nie robi, że ty na niego czekasz w Podborzu, albo już wysłany jest z Krakowa, a wtedy poszedł na zamek samborski a z zamku dopiero do Podborza pójść by mu potrzeba, aby się wam dostał!

– To się nam nigdy nie dostanie! – wołam ja teraz, bo Matysek słowami swoimi jakby mi świeczkę zapalił w ciemności.

– „Mądrej głowie dość dwie słowie, a obuchem w łeb!” – — rzecze Matysek.

– Jeżeli dekret przyszedł na zamek, to z zamku tylko przez ręce podstarościego albo Kajdasza mógł być przyjść do nas! Jakżeby oni go nie ukryli!

– Król z dekretem, a Kajdasz z muszkietem! – mówi na to Matysek. – A teraz zostań zdrów, Hanusik! Na plebanii pewnie już pochrypli od wołania: – „Matys! Matys! a gdzieżeś to, psianogo!” Ani mnie to minie, że wezmę po uszach! Jak co zobaczę, jak co usłyszę, aby co ważnego a dobrego, to choćby do Soli posztykulam do ciebie, choćbym chromy, boście wy dla mnie zawsze dobrzy byli, i ty, i Markowa! Hej, hej, żebyście to wy na sołtystwo wrócili! A tobym ja rad zagrał Kajdaszowi na waletę ot, na tę nutę:

Żegnaj cię pies, żegnaj cię pies, Cyganku!

Witaj cię bies, witaj cię bies, Cyganku!

I Matysek odszedł śpiewający. Jak mnie zostawił, tak długą chwilę stałem na miejscu, rozmyślając nad tym, co mi powiedział. Co teraz robić? A nuż dekret królewski dla ojca już był albo jest, albo niebawem będzie, jakże o tym wiedzieć? jako go dostać? Czy z kancelarii królewskiej, do której mnie, biednemu, jakże trafić? Czy z zamku, co jeszcze gorzej, bo go ci niecnotliwi ludzie zatrzymają, ukryją, zdrapią! Iśćże teraz w świat za zarobkiem, czy zostać i dekretu królewskiego patrzeć?

Tak mi kołatały myśli w głowie, a tymczasem wszedłem w las, kierując się ku polanie, na miejsce, gdzie Semen zakopał tę swoją tajemniczą rzecz, o której ja nie wiedziałem, co zacz była, a na którą trafić mogą ludzie, co w lesie piece kopać i popioły palić będą.

Pamiętałem dobrze każdy znak, z łatwością się rozpoznawałem, ale jeszcze dość daleko było do Semenowej Polany, a już słyszę: bach! bach! bach! wałą chłopcy siekierami, a las jakby gadać umiał, bach! bach! bach! milami odpowiada, że wyraźnie się zda, jakżeby drzewa ze strachu na siebie wołały.

Przychodzę na samo miejsce, patrzę i oczom nie wierzę: na polanie, o której Semen myślał, że tam chyba wilk czasem zabłądzi, roi się od ludzi, stoją szalasy z gałęzi i wózki, leżą wszędy topory, piły, rydle, sznury, drabiny. Masz tobie tajemnicę! Zachodzę w głowę, jak ci ludzie tu się dostali, bom po drodze nigdzie śladu nogi ludzkiej nie widział; idę między nich, jakobym także do roboty należał, i rozglądam się na wszystkie strony, aby obaczyć, którędy wszystko to przywędrowało na polanę.

Niedługo było szukać. Nie ma co mówić: Semen niegłupi, to prawda, ale tym razem kozackiego rozumu nie pokazał. Nie znał tutejszych lasów, tak jak i ja ich nie znał, wziął się do lasu z tej strony, z której do polany było i bardzo daleko, i bardzo ciężko, tedy myślał, że to właśnie głąb puszczy i sam koniec świata, a nie wiedział, że z innego końca brzeg lasu był blisko, a droga całkiem łatwa, bo równa i gładka, że jeno drzewa wyciąć a furą na polanę zajedziesz.

Rozglądam się teraz jeszcze bardziej po ludziach i narzędziach; widzę: od onej skały, a to właśnie od rozpadliny prosto, jakby strzelił, co krok prawie kołek po kołku wbity w ziemię i kto wie czy który z nich nie siedzi na samym dziewiątym kroku. Podeszedłem do jednego z chłopów i pytam, na co te kołki powbijane.

– Tu się będzie kopać – odpowiada.

– A kiedyż zaczniecie?

– Może dzisiaj, ale najpewniej, że aż jutro, bo czekamy na tych Niemców ze Lwowa, a jakoś ich nie widać – rzecze chłop.

By mi obuchem po głowie nie dał, tak by mnie nie ogłuszył, jak tą wieścią. Poszedłem z polany w las, bom nie chciał, aby mnie jacy znajomi ludzie widzieli, ale niedaleko, tak że co się tam działo, spoza drzew dobrze widzieć mogłem.

Siadłem na mchu, podparłem głowę rękami i tak siedziałem długo, a płakać mi się chciało, żem już teraz na to wszystko głupi i rady żadnej nie widzę. Bo a co robić? Zrobił mnie Semen stróżem i wiernikiem swoim pod przysięgą i klątwą mnie zostawił; onej rzeczy zakopanej ruszyć mi nie wolno, ale patrzeć na to spokojnie nie mogę przecie, jak ją inni znajdują, ruszą i zabiorą. Wiedzieć o tym, a nie radzić i nie ratować, to przecież będzie także zdrada i złamanie przysięgi. Główna rzecz na tym, aby Semen miał to, co zakopał; jeżeli ja wykopię, to mu tego święcie dochowam i gardło prędeży dam, niżeli dopuszczę, aby wzięte było. Ale jakby zrobić? Trzeba doczekać nocy; jak ludzie pójdą z polany, wezmę się do roboty, byle jeszcze za dnia sami kopać nie zaczęli.

Tak tedy siedzę w ukryciu, czekam i czuwam. Słońce już się dobrze chylić zaczęło, las się nurzał w mrocznym cieniu, choć za lasem jeszcze dzień być musiał, kiedy rąbanie ustało i widzę, że chłopcy zabierają się do domu. Poszli wszyscy, jeden tylko został, pewnie dla wartowania narzędzi. Z jednym to już łatwiej – myślę – ale przecie zawsze ciężko, bo go przecież nie przemogę ani ubiję, tedy ciemnej nocy czekać będę musiał i uważać, kiedy zaśpi.

Nie spuszczałem tego wartownika z oka, prosząc Boga, żeby mu się też wrychle spać zachciało. On się po trosze kręcił po polanie, zaczął składać do kupy zaniechane narzędzia, ale przestał; nasłuchiwał, jakby kogoś wyglądał, może swojej kobiety, która mu wieczere przynieść miała, świsnęła też parę razy jakby na psa, pomyślał chwilę, a w końcu zarzucił płótniankę na plecy i poszedł.

Polana była pusta. Jakaś chwilę jeszcze przeczekałem, czy nie wróci, a widząc, że go już nigdzie wśród drzew nie widać, wyszedłem z ukrycia, chwyciłem rydel i z pukającym serem wziąłem się do roboty. Tak jak mnie Semen uczył, odmierzyłem dziewięć kroków, ukląknęłam, naznaczyłem sobie miejsce od kolana, powstałem i nuż kopać. Już się ani oglądałem, ani nasłuchiwałem, czy też kto nie idzie; na nic by się to było zdało, bo mi od tego strachu i wzruszenia oczy i uszy zastąpiło, i tytko mi brzęczało w głowie jakby w ulu.

Niedługom kopał; ledwo kilkanaście razy rydlem ziemię wyrzuciłem, trafiłem na coś twardego. Był to duży czerep z garnka. Odrzucę go na bok i widzę drugi czerep taki sam, a na nim mieszek skórzany, taki mały, że go w garść snadno wziąć, czerwonym sznurkiem zawiązany i dokoła dobrze opleciony. Schowałem go szybko w zanadrze, a miałem na sobie sukmanę karazjową<sup>100</sup>, jak ją u nas noszą na wsi, i chcę patrzeć, czy nie ma jeszcze czego więcej, kiedy nagle czuję, jak mnie ktoś chwytą za kołnierz i słyszę za sobą wołane:

– *A, ty złodeju, co ty kopasz!*

Struchlałem i zdało mi się, że dusza ze mnie wyskoczy! Już mi się nie potrzeba było oglądać, kto to taki, bo po głosie i po tych słowach z węgierska powiedzianych poznałem, że to hajduk Kajdasz!

Chwileczkę to jakobym skamieniał, ale tylko chwileczkę, bo kiedym raz wiedział, że to Kajdasz, wróg, rozbójnik, złodziej naszego chleba, taki we mnie duch pomsty wstąpił, takie gorąco serce mi oblało, na taką odwagę, a raczej na taką wściekłość mi się wzięło, że byłbym się dał poszarpać w kawałki, a nie uciekał przed nim.

Porwę się na nogi i szarpnę z całej mocy, a on mnie za kark trzyma, jakby żelaznymi kleszczami chwycił, ku ziemi mnie gniecie. Tedy chwycę oburącz rydel i jak nim nie machnę z całej siły poza siebie, tak na ślepo, nie wiedząc, w co ugodzę, czy w łeb, czy w ramię, czy w nogi hajduka – tak jeno usłyszę jęk i czuję, że mnie ręka puściła, a Kajdasz buch! na ziemię.

Skoczę tedy naprzód i obracam się do Kajdasza, a trzymam rydel obiema rękami, gotów się bronić aż do śmierci, i widzę, że Kajdasz leży na ziemi, a krew mu z głowy ciurkiem ciecze, a koło niego stoi podstarość Bałczyński i jeszcze jakiś człek wysoki, rudy, z cudzoziemska ubrany, w łosiowym kabacie i z mieczykiem przy boku, pewno jeden z tych Niemców lwowskich. Niemiec

<sup>100</sup> karazjowy (daw.) – z grubego, taniego sukna. [przypis edytorski]

ten nie ruszał się z miejsca, tylko we mnie oczyma jakby strzelił, tak ostro i przenikliwie spojrzął – zaś podstarości z czekanem żelaznym na mnie sadzi a:

– Bij! zabij! – woła.

Umknąłem głowy przed czekanem w sam czas, bo podstarości omal mnie nie ugodził ostrym nadziakiem<sup>101</sup>, a wtedy pewno bym się był z tego nie wybiegał z życiem. Jedyne moje ratunek był w ucieczce, toteż jeno tyle mnie Bałczyński widział, co mu było trzeba na rozplatanie głowy, gdyby czekan jego był nie chybił – skoczyłem w las, uciekając, ile mi siły i tchu stawało. Słyszałem tylko wołanie: „Łapaj, łapaj!”, ale coraz dalsze i słabsze, aż całkiem umilkło w głuszy leśnej.

Padłem na ziemię jak nieżywy od srogiego zmęczenia, a snadź musiałem całe omdleć, bo nie wiedziałem o sobie, tak jakbym od życia i od wszelkiej pamięci odszedł. Gdy się nareszcie ocknąłem wśród szumu drzew, ogarnięty ciemnością nocy, nie wiedziałem zrazu, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, i dopiero po chwili stanęło mi wszystko przed oczyma, co zaszło na polanie.

Pomacałem zanadze, czy ów wykopany mieszek mam jeszcze, a przekonawszy się, że mam, prawie nie żałowałem już mego węzełka z świąteczną odzieżą i z butami, który został na polance, lubo to był cały mój majątek, i zasnąłem smaczno jakoby na najmiększej pościeli.

---

<sup>101</sup> *nadziak* – czekan; broń o kształcie zaostrego młotka, służąca w bitwie do rozbijania zbroi przeciwnika. [przypis edytorski]

## V. Przygoda z Tatarami

Kiedy się obudziłem, już dzień się robił, a równo z poranną zorzą i w mojej biednej głowie świtać zaczęło, i teraz mi jasno było, com narobił i na jakie nieszczęście samego siebie przywiodłem. Zmówiłem pacierz z uciśnionym sercem i jałem rozmyśliwać nad dolą swoją opłakaną, a czym więcej myślałem, tym większa trwoga mnie brała, co ja pocznę teraz i na jaki koniec mi przyjdzie?

– Obaczże się, nieboże – tak sobie powiadałem w myślach – jako teraz wiesz i co ciebie czeka? Zabiłeś Kajdasza; widziano cię, jak wykopałeś skarb Semena. Semen zabił Żyda, tyś zabił hajduka; obaście złoczyńcy, obaście mordercy, a co rzecz gorsza, obaście wspólnicy i rabownictwa, i zabójstwa, bo każde dziecko w Podborzu wie, żeście byli przyjaciele. Semena już wywołano i poszły za nim listy i do grodów, i do miast, i do żołnierskich stacyj; pójdą teraz listy i za tobą wszędy, a co będzie, jak cię złapią, a pewno złapią, bo gdzie ty ucieczesz, świata i ludzi niewiadom? Do ciemnego lochu najpierw cię rzuca, potem na męki cię wezmą, a na końcu albo powieszą, albo kat mieczem głowę ci zetnie, a może cię i poćwiartują w Samborze na rynku, tak jak mi to opowiadał ojciec o onym szewcu felsztyńskim, co kościół okradł i organistę zabił, kiedy go ten pojmać chciał. A dokądże teraz pójdziesz i gdzie głowę skłonisz? Do Podborza nie wrócisz ani do matki, ani na robotę do Soli nie pojedziesz, boś już rozgadać kazał Matysowi, żeby cię tam szukano, i wiedzą już o tym wszyscy.

Sroga mnie rozpacz ogarniała, gdym tak wszystko rozważał, a już najbardziej, kiedym pomyślał o matce i jako jej serce pękać będzie od żalości, żem się w złodzieja i mordercę obrócił, i żem już dla niej umarł, bo choć mnie nie złapią i nie stracą, to i tak mnie przecie nie obaczy. Czy to nie lepiej, abym się sam obwiesił w lesie na pierwszej suchej gałęzi?

Ale po dobrej chwili, kiedym się tego strachu i tych trapiących myśli dobrze najadł, że mi się od nich aż serce wywracało, dał mi Bóg znowu i jakakolwiek pociechę, bo tak to już jest po staremu w człowieku, że znajdzie w sobie samym i truciznę, i lek na nią, i z swojej własnej duszy, jakby z jednej i tej samej krynicy, i gorzkości, i słodkości się napije, a skąd szła trwoga, stąd naraz i odwaga rośnie.

Albom ja naprawdę taki złoczyńca? Albom ja co z niecnotliwej pobudki uczynił, z chciwości, z okrutnego serca? Jeżeli zabił Kajdasza, to go ja przecie zabić nie chciał, jeno siebie obronić, bo kto wie, czyby mnie na śmierć nie był skatował zły ten człowiek, i co by mnie było czekało – a i tak jeszcze nie całkiem o własną skórę mi szło, ale także o ten sekret Semenowy, o tę tajemną rzecz zakopaną, na którą mu wierność przysiągłem. Tom ja może teraz przed ludźmi złoczyńca, ale przed własnym sumieniem to nie, Bóg widzi. I gdybym teraz przed matką stanął, mógłbym jej w oczy śmiało spojrzeć i za złoczyńcę by mnie pewno nie miała.

Kiedy mi tak nieco serca przyrosło, już mi się i głusza leśna taką straszną nie zdała, i jutro nie takie czarne, chociaż to rzecz pewna była, że mnie los rzucił w świat jak kamień z procy, i że czułem jako lecę, a nie wiem, gdzie spadnę. Teraz trzeba było myśleć o najbliższych kłopotach: jak się z tego lasu bezpiecznie wydobyć, w którą stronę iść, kędy ludzi szukać i chleba. A co z wykopanym mieszkem zrobić? Wyjąłem go z zanadrza – rzecz mała, leciuchna, a owo gniecie mi głowę, jakby za cały łaszt<sup>102</sup> ważyła.

Nie miałem dotąd czasu obaczyć dobrze, co to jest, teraz dopiero przyglądnę się temu. Patrzą: mieszek mały z miękkiej skóry, co ją leszem zowią, jedwabnym sznurkiem czerwonym okręcony, a w tym mieszku coś twardego, krągłego, jakby jaje. Myślę jakiś czas: rozwiązać mieszek czy nie? – i nie wiem, czy mi to wolno i czy nie złamię przysięgi. Ale przecież nie dla ciekawości to uczynię,

---

<sup>102</sup> łaszt – daw. jednostka objętości, licząca od 3 do prawie 4 tysięcy litrów, czyli 3-4 metry sześciennie; tu: wielki ciężar. [przypis edytorski]

jeno ostrożność sama każe, abym wiedział, jako to chować, jako nosić, aby nie stłuc, jeśli to kruche, nie popsować<sup>103</sup>, jeśli wątle.

Z nieśmiałością rozwiążę sznurek, prawie, że ze strachem, jakoby tam żmija żywa siedziała; popatrzę, a w mieszku wyraźnie czarne jaje! Biorę do ręki, widzę, że z żelaza, ale nie takie ciężkie, jakby być musiało, gdyby było lane i całe miąszsze<sup>104</sup>. Śledzę tedy bliżej i widzę, że z jednej strony tego żelaznego jaja są zawiaski, a z drugiej maleńki zameczek, bardzo snadź misterny, bo oczko w nim do klucza takie małe, jak ziarenko pszenicy. Miarkuję tedy, że to żelazne jaje jest jeno olsterkiem, czyli puszką zamkniętą, która mieści coś w sobie, co zostanie dla mnie tajemnicą, bo kluczyka w mieszku nie było.

Jam był rad z tego, bo ciekawość ludzka, a dopieroż kiedy młoda, zawsze gotowa wieść w pokuszenie i co wiedzieć, czy znalazłszy kluczyk, nie byłbm otworzył tego olsterka, a przez to może nabawił się niepokoju i wyrzutu sumienia, żem złamał przysięgę, bo kiedy Semen nie chciał mi powiedzieć, co za rzecz jest, którą zakopał, to snadź nie chciał, aby je kiedykolwiek oko moje oglądało. Niechże sobie to skryte lichy siedzi, gdzie je zamknięto; dość dla mnie wiedzieć, że to czarne jaje ani się stłucze, ani popsowa, i nosić je mogę w kieszeni, jako chcę.

Ale przecież, choć takie małe i lekkie, i do schowania łacne, za cetnar mi ważyło to czarne olsterko, żem z nim niepewien był samego siebie, ani wolności mojej i zdrowia, bo jak tego nie zgubić, jak się nie zdradzić, jak się opowiedzieć, kiedy mnie gdzie trząść będą, chudego pachółka, a oto cale nietrudno, bo biednemu napaści i złej przygody długo nie szukać. Jakoż było mi z tym jak z kradzionym złotem, albo ze złym sumieniem, a tak na mnie niewinnym, jakby na złodzieju, bezustawnie czapka gorzała.

Ruszyłem w drogę tą ciemną, głuchą puszcza, bo trzeba wiedzieć, że w owym czasie lasy, jak się poczynały od Sambora, tak się ciągnęły całymi milami w różne strony, jako się już raz przedtem rzekło, i jeszcze ich było nie naruszono, jako to później czasu żywota mego się stało, że panowie srodze rąbać, trzebić a palić lasy poczęli, to na klepki, to na wanczosi<sup>105</sup>, to na maszty okrętowe, to na popioły i potaż, aby to spławić na handel Niemcom, tak że można było powiedzieć, iż całe lasy z polskiej ziemi spłynęły Wisłą ku Gdańskowi. Tyle mnie Kozak Semen nauczył, żem przebijając się przez las nie gubił się i nie kołował, jak to się zdarza niebacznemu, że w takim borze błąka się tam i sam, wracając, skąd iść zaczął, ale szedłem zawsze statecznie w jednym kierunku ku wschodowi, choć wiedzieć nie mogłem, gdzie mnie ta droga zawiedzie.

Tak cały niemal boży dzień szedłem, nie odpoczywając, jak tylko krótko i z rzadka, bom się chciał jako najrychlej oddalić od tego przeklętego miejsca, gdzie Kajdasza zabił, a byłem wtenczas pewien, żem go wierutnie zabił. Obdarłem i obszarpałem sobie odzież, pokaleczyłem boscie nogi, ale nie bacząc ani na głód, ani na ból, ani na srogie zmęczenie, przebierałem<sup>106</sup> się coraz dalej, nie widząc temu końca, bo już pewnie dobrze było z południa, a ani się las przede mną nie prześwieślał, ani też śladu w nim ludzkiego nie spotkałem. Już z głodu i znużenia przymierałem i rozpacz mnie brała, że mi tu chyba mamie zginać przyjdzie, kiedy owo słyszę naraz jakby głosy ludzkie niedaleko przed sobą.

Pierwsza moja myśl była, że to może zbójcy, o jakich od dziecka nasłuchałem się najrozmaitszych strasznych baśni, jako po lasach koczują i łupy zrabowane między sobą dzielą, a zawsze ich bywa dwunastu, a herszt trzynasty. Ostrożnie i pomału idę dalej, i spoza drzew widzę niedużą polankę leśną, a na niej gromadkę ludzi, a wszyscy z miejska ubrani i żaden z nich na zbója nie wygląda. Całą noc i cały dzień blisko samotny spędziłem w dzikości leśnej, tedy rad byłem, że widzę twarze ludzkie, ale nieśmiałość mnie brała, że to miastowi, a nie wiejscy, bom ja z miastowymi jeszcze nie bywałem. Wychodzę na polankę i zdejmując czapczynę, grzecznie mówię:

<sup>103</sup> *popsować* (daw.) – popsuć. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> *miąszszy* – pełny w środku, wypełniony, lity. [przypis edytorski]

<sup>105</sup> *wanczosi* a. *wańczosi* – obrobione drewno dębowe, służące do wyrobu mebli i beczek. [przypis edytorski]

<sup>106</sup> *przebierać się* (tu daw.) – przeprawiać się, iść, podążać. [przypis edytorski]

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Snadź nikt nie zasłyszał mnie z dala i nikt się z tej strony, od samej gąszczy, gościa nie spodziewał, bo się wszyscy aż poderwali z ziemi, jakby nastraszeni, i nikt mi nawet nie odpowiedział na to pozdrowienie chrześcijańskie. Zdało mi się, że nie mam co robić między nimi, biedny prostak, i już nawet nie patrząc na nich, chcę ich minąć i iść dalej w las, kiedy słyszę, jak jeden z nich woła:

– Hejże, hola, panie arkuariusz<sup>107</sup>!...

Nie słyszałem nigdy tego słowa, nie rzekę tedy nic, a idę dalej.

– Hejże, a kędy to? – woła na mnie ten sam głos – od Tatarów czy na Tatary?

Oglądam się, a ten, co to mówi, to, widzę, chłopak mniejszy od mnie, może ma lat czternaście, ubrany z miejska, ale w wytartym i połatanym nieco giermaczku<sup>108</sup>, w czapce piłśniowej z junacka brożkiem<sup>109</sup> na ucho zasadzonej i z kogucim piórem na niej. Twarz ma szczerą i przyjemną, oczy ciekawe, śmieje się do mnie i drwiąco patrzy na mój łuk, sterczący od ramienia.

– Anim Tatar, ani arkuariusz żaden – mówię temu wyrostkowi, bo mi już markotno było, że sobie ze mnie śmieszki chce stroić.

– *Arcuarius* albo łucznik – rzecze ten wyrostek. – „Gre, gre, gre, Gregory, idźże chłopie do szkoły”, kiedy nie umiesz po łacinie.

Ja miarkuję, że to frant i rady mu gębą nie dam, bo mnie głodnemu i zmęczonemu raczej do płaczu było niż do żartów, więc chcę mu ująć z drogi, a widząc dopiero teraz, że z jednej strony przez drzewa światło już dobrze bije i że tedy pewnie blisko w czyste pole się dostać, ku tej stronie rażno się biore.

– Stójże, człowieku! – woła znów ów wyrostek z kogucim piórem przy czapce i skoczywszy z miejsca, chwyta mnie za ramię. – Na Boga żywego, czy ty się chcesz dostać w tatarskie łyka? Pilno ci w Dzikie Pola, do Krymu?

Za tym chłopcem ruszyli się i ci wszyscy, co byli na polanie, i wołają:

– Nie rusz się, zostań! Licho cię bierz samego, ale jak z lasu łeb wystawisz, to drogę im do nas ukażesz, bierz ciebie kat!

Tak na mnie wrzeszczą, a wszyscy naraz, że ani zrozumieć czego chcą, aż ów wyrostek do nich:

– Ukażecie wy to lepiej krzykiem swoim aniżeli on! Taki czynicie wrzask, że ano dziw by był, żeby Tatarowie tego nie słyszeli, chociażby już u siebie doma<sup>110</sup> na Perekopie<sup>111</sup> byli!

Zaraz się cicho zrobiło, żeby mak siał, a osobliwie jeden, co tak strasznie i mężnie patrzył, że owo przysiąc by, iż Tatary żywe jakby orzechy zęboma gryźć będzie, człek z dużymi wąsiskami, szpiczastą brodą i przy zardzewiałej szabli u boku, osobliwie ten jeden jak chusta pobladł i siadł pokornie na murawę, trzęsąc się ze strachu.

– Żeby my to wszyscy na wojnach bywali – rzecze teraz ów bystry chłopak z kogucim piórem, a oczy jeno mu się śmieją – jako owo pan Grygier, i taki miecz na karkach pogan i nieprzyjaciół Korony Polskiej srodze poszczerbiony przy boku mieli, tobym ja był cale spokojny; moglibyście krzyczeć, jako chcecie. A co, panie Grygier, wy się pewno Tatarów nie boicie?

– Ja bym się miał bać? – zawoła teraz ten człek ze szpiczastą brodą i nadyma się, i wąsy kręci, i znowu straszno dokoła patrzy, że mu się jeno oczy przewracają, a przy tym chrapie jak lew. – Albo mnie to nowina Tatary! Chrrry! Niechaj się jeno który pokaże! Chrrry! – i to mówiąc uderzył po szabli.

---

<sup>107</sup> *arkuariusz* (z łac. *arcuarius*) – łucznik, strzelec. [przypis edytorski]

<sup>108</sup> *giermaczek*, *giermak* – kubrak, kaftan. [przypis edytorski]

<sup>109</sup> *brożkiem* – na bakier. [przypis edytorski]

<sup>110</sup> *doma* (ros. a. ukr. *дома*) – w domu. [przypis edytorski]

<sup>111</sup> *Perekop* – twierdza tatarska, strzegąca wejścia na Półwysep Krymski. [przypis edytorski]

– Kto by to rzekł – prawi dalej ów ciekawy wyrostek, który mi się coraz bardziej podobał – że ten rycerski człek, pan Grygier, do krawieckiego cechu należy! Taka hetmańska dusza, a owo igłą zabawiać się musi i nożycami! Panie Grygier, a na chocimskiej ile Turków zabiliście?

– Kto by ich tam rachował, chrry! – rzecze pan Grygier ze srogim spojrzeniem. – Ale gdyby każdy z tych, co tam byli, tak samo sobie poczynał, jak ja, do jednej łapy bylibyśmy to pogaństwo wysiekli! Chrry!

Wyrostek z kogucim piórkim mrugnął na mnie, a że to w młodości swawolnik swawolnika zawsze snadno odgadnie i do psoty jest skory, tedy ja zrywam się z siedzenia i udając przestrich, mówię:

– A co tam za nami rucha się między drzewy!

Ledwim to powiedział, a tu pan Grygier aż się w małą kupkę cały zapadł, od razu z rycerza baba; trzęsie się i oczyma miłosierdzia prosi.

Zaczęli się wszyscy śmiać, a było na polanie jeszcze dwóch mularczyków<sup>112</sup> i jeden rzemieślniczek grzeczny, który u złotników rabiął, a teraz do Lwowa za robotą szedł. Pan Grygier znowu nasrożył oczy i wąsy po husarsku potrząsł swoją szablina i patrząc na mnie z okrutnym marsem, mówi:

– Temu pachotkowi zawadzają uszy, chrrry! już ja widzę, że mu zawadzają; wrychle ja mu je poobcinam, chrrry! Kiedyś po staremu tchórz i masz duszę na ramieniu od samego szelestu liści...

– To nie strasz takich rycerzy, jak pan Grygier – skończy za niego ów chłopak. – Panie majster, chrry! co wam tak dzwoniło przed chwilą, czy wasze nożyce, czy zęby?

Zaczął ja teraz być śmielszy i pytam tego ciekawego wyrostka, a jak się potem dowiedziałem, nazywał się Urbanek, czemu to siedzą i skąd o Tatarach mówić im przyszło. Powiada mi tedy, że się nagle pojawili koło Lwowa Tatarowie na kilka mil dokoła, sioła popalili, siła krwi przelali, łupów moc nabrali, a co najżałośniejsza, pewno jakich kilka tysięcy ludu na łykach w niewolę pognali. Już się ich orda nawróciła, ale jeszcze w małych gromadkach się uwijają i szarpią jeszcze, co się da, jako diabeł na wylocie.

– Ja dla powietrza<sup>113</sup> ze Lwowa wyjechałem z panem Heliaszem, który u pana Spytka jest pierwszym sprawcą<sup>114</sup>, i byliśmy razem stąd niedaleko na wsi. We Lwowie czarna śmierć ludzi codziennie setkami zmiatała; szczególna łaska boska, kto tam w czasie tego morowego powietrza przebywał a żyw został. Powiadają, że 10 000 ludzi wymarło. A u was powietrza nie było?

Było i w naszych stronach powietrze, ale tylko w Samborze i po mieścinach między Żydami; na naszą wieś Bóg łaskaw był; tak nas minęła ta straszliwa klęska, jak czarna chmura gradowa, co jednych tylko postraszy, a na drugich za to z grzmotami się wysypie. Tak też powiadam Urbankowi, a on prawi dalej:

– Dziś rano wyjechaliśmy do Lwowa, bo już tam powietrze ustąpiło, a jechało nas trzech: ja, pan Grygier Niewczas i ten złotniczek<sup>115</sup> Lorenc, co tu z nami siedział, a po drodze spotkaliśmy obu mularczyków. Pan Heliasz, który mnie z dobrej łaski wziął był z sobą ze Lwowa, a tak pewno od śmierci wybawił, miał zaraz po nas wyjechać drugim wozem. Jedziemy boczną drożyną, strasznie wyboistą, i już niedaleko było do lwowskiego gościńca, kiedy owo pędzi na koniu jakiś dworski służebnik, jakby go sama śmierć goniła, i mija nas wołając: „Uciekajcie, ludzie! Tatarzy idą!” Na to chłop, co na wiózł, zeskoczy z wozu, odpręgnie konie, dosiędzie jednego i uciecze, co tylko szkapa wyskoczy, za onym dworskim, zostawiając wóz w polu i nas na nim. Pan Grygier Niewczas, co ze sławnym Albertusem wart wojować i na chocimskiej potrzebie był, że jest mężnego serca i rycerskich rzeczy świadom, zaraz do lasu ukazał drogę, a my za nim. I teraz tak tu siedzimy. A tak pan Grygier

---

<sup>112</sup> *mularczyk* (daw.) – czeladnik murarski. [przypis edytorski]

<sup>113</sup> *dla powietrza* (tu daw.) – z powodu epidemii (morowego powietrza). [przypis edytorski]

<sup>114</sup> *sprawca* – tu: zarządca. [przypis edytorski]

<sup>115</sup> *złotniczek* (daw.) – uczeń złotnika, czeladnik złotniczy. [przypis edytorski]

uratował nam życie, bo on to umie doskonale ratować życie, jako i pod Chocimiem cudownie je samemu sobie uratował, bacząc pilnie na to:

...aby tak był śmiały,  
Jakoby się z wojny zawsze wrócił cały.

– A czy nie tak było, panie Grygier? – dodał Urbanek i popatrzył na pana Grygiera z wesołym przekwintem<sup>116</sup>.

– A może Tatarów cale nie masz – rzekę ja na to – może to jeno strachy? Pójdę ja z lasu i obaczę.

Jam Tatarów dotąd nie widział, choć od maleńkiego dziecka nasłuchiwałem się o tej straszliwej chłoście Bożej, która nieledwie rok w rok nawiedzała ruskie krainy, że ziemia aż krwią i łzami ociekała, a lament ludzki szedł lasami i polami, i z czerwoną łuną wsi i dworów gorejących wzbijał się ku niebu. Przed trzema laty, zaraz po owej żałośnej klęsce pod Cecorą, gdzie to sławnej pamięci pan hetman Żółkiewski poległ, Tatarzy wielkim zagonem najechali polskie ziemie, a wtedy wpadli i w nasze okolice samborskie, bo aż w Kulczycach byli.

Ojciec mój, który, jako się rzekło przedtem, dużo świata widział, i dużo słyszał, pewnie więcej niż niejeden ksiądz lub szlachcic, chociaż był nieuczony, opowiadał wiele o Tatarach, o tych tysiącach biednego chrześcijańskiego narodu, które oni łykami spętane gonili z Polski aż do Krymu, a stamtąd je jako podłe bydło sprzedawali w niewolę Turkom poganom, a sam też furmianąc do turskiej ziemi, spotykał czasem zabranych biedaków i niekiedy nawet krewnym o nich wiadomość przywoził. Mój wujaszek, nieboszczyk kantor Walenty, sam też śpiewał i mnie nauczył śpiewać żałosną pieśń o Tatarach, którą ja dotąd dobrze pamiętam:

Serce się kraje patrząc na płacz srogi,  
Bo wszędy pustki, popiół i pożogi.  
Tak ciała leżą, strumieniem krew płynie  
w pustej krainie.

Córeczkom miłym przy rodzicach smutnych,  
Ledwie stanęły w ich oczach okrutnych,  
Nie przepuścili ani ich wstydowni,  
Ani stanowi.

Drugie w dalekie zaprzędane kraje,  
Opłakiwując pogańskie zwyczaje,  
Psom bisurmańskim ścielą brzydkie łoże,  
Pożal się Boże!

Synowie mili takie lamentują,  
Ojca ni matki, ni przyjaciół czują,  
W niewolę wzięci na ciężką robotę,  
Wieczną sromotę!

Czy nie żal gorzki, kiedy dziatki małe  
Na rzeź prowadzą psie ręce zuchwałe?  
Matki nieszczęsne, gdy na to patrzą,  
Wpół umierają.

---

<sup>116</sup> *przekwint* – ironia; tu: ironiczna mina. [przypis edytorski]

Ale dopiero Kozak Semen na rozum i po prawdzie obznajomił mnie z tymi Tatarzy, o których ja tylko jak o strachach z bajki, zawsze truchlejąc myślałem. Bo on ich znał, z nimi bywał, z nimi wojował i nic się ich nie bał, i siłą ich z ojcem swoim pozabijał. Powiadał, że to lud tylko takim straszny, co mu odporu nie dadzą w czas a mężnie, i że tylko w czystym polu, to nacierając, to uciekając, wielką hurmą przewagę biorą, bo jak szarańcza opadają czterema wiatrami od razu, ale byle się kupą, choćby małą ale zwartą, przeciw nim stawić, już pierzchają, a byle zameczek jaki mizerny, byle zasiek, byle chruściany zapłotek, a za nim chłop z rusznicą, to Tatar już umyka, że bywało garść Kozaków spoza wałów i wozów tysiące Tatarów napędzi i do syta się ich nabije. Tak mi tedy znajomi byli ci pogańcy z żywej opowieści, że prawiem był rad temu, aby się gdzie za lasem pokazali, i mówię znowuż:

– Wynijdę ja z lasu, a obaczę, co tam na polu.

Chcieli mnie zatrzymać ci mularczykowie wraz z panem Grygierem, alem ich upewnił, że spoza drzew łba nie wychylę i Tatar mnie nie obaczy, a zawsze lepiej, żeby mieli pewność i uspokojenie, bo owo może podaremnie się strachają, a nie ma czego. Tedy mi dano pójść.

Do brzegu lasu było niedaleko; już widać czyste pole głęboko i szeroko. Chowam się za krzakiem i patrzę, a tu przez pola, nie bardzo daleko od lasu, sady gromadka jeźdźców. Jeszcze dzień był dobry, słońce jeszcze się chować nie zaczynało; dobrze ich widzieć było można. Na cale niepoczesnych szkapach, które miały bardzo bujne, a takie długie grzywy i ogony, że prawie do samej ziemi sięgały, siedziały dzikie ludziska niby bestie z czarnymi twarzami, brodate, w czapkach baranich i takichże kozuchach, ale wywróconych kudłami na wierzch, tak że każdy z nich wyglądał jako niedźwiedź. Ten i ów miał spisę, a u każdego był długi łuk na plecach. Jechali ostrym kłusem, mocno pochyleni na koniach, prawie że w kabłąk, bo na zbyt krótkich strzemionach, tak że im kolana sterczały, jak kiedy kto na bardzo niskim stołku siedzi.

– Tatarzy! – rzekę z cicha sam do siebie i nie mogę oderwać oczu od nich, tak mi się napatrzeć chciało tego, oczym się nasłuchałem takich straszliwych opowieści.

Wracam dopiero po chwili na polankę i rzekę:

– Mości panowie, na polu Tatarzy! Widziałem ich jaki dziesiątek!

Ledwie to powiedział, a pan Grygier od razu buch! do lasu jak zając i jakby utonął w chaszczach bez śladu. Urbanek zaś patrzy na mnie, czy nie żartuję tylko, ale wnet widzi, że mi cale nie żarty w głowie. Wszyscy pobledli i pomilkli bardzo potrwożeni, a ja mówię:

– Pójdę ja znowu na czaty, czy jeszcze ich widać i czy ich więcej nie nadciąga. A wy tu zostańcie, aż wam powiem, co zobaczę.

– A to i ja pójdę – mówi pierwszy Urbanek, któremu już przeminęła była pierwsza trwoga.

– I my także – mówią mularczykowie i złotniczek, nabierając odwagi, a już wszyscy inaczej patrzą na mnie aniżeli przedtem, bo mnie, boscie chłopskie dziecko, za „bajbardzo” sobie mieli.

Idą tedy za mną i kładą się za moim przykładem w krzaki na samym brzegu lasu. Ledwieśmy chwilę byli, aż tu słyszemy żałośnie wołanie, jakby o pomoc, i patrzymy, bieży jakiś starszy człek bez czapki, po miejsku uczciwie ubrany, zacniejszego stanu, zażywny bardzo; widać ostatniego tchu dobywa z siebie nieboraczek, do lasu dąży pod górę, a nogi mu się płaczą i co raz to się potyka, a za nim ledwie na dwoje *Zdrowaś Maria* dwaj Tatarzy gonią.

Widzę, że przepadł biedaczek, bo owo i piechotą dogoniono by go łatwo, tak słabo uciekał, a cóż dopiero na koniu. Był już bardzo blisko lasu, żeby tak był młodszy i brzucha nie miał, może by był dopadł jeszcze do nas i znalazł ratunek w gęstwinie – a tak to już mu Tatar tuż tuż będzie na karku.

– O Jezu, o Jezu! O Panno Święta! – zawoła nagle koło mnie Urbanek – a to pan Heliasz, pan Heliasz!

I pocznie ręce łamać i płakać żałośnie jak dziecko, a nie ustaje wołać:

– O Jezu słodki! Pan Heliasz! Ratujcie, ratujcie, o Panno Święta! Tatarzy gonią pana Heliasza!

Ja na to chwytam łuk mój z ramienia, porywam strzałę, a mierzę okiem, czy mi Tatarzy pod samo strzelanie się zbliżą, i mówię:

– Teraz cicho bądźcie i ani się rusz który! A jak ja zawołam, tedy i wy wołajcie z całej mocy, co gardła starczy: Hu! hu! Hurra! hu! A taki róbcie gwałt i hukanie, jakby nas tu siła razem było!

Mam już łuk napięty i patrzę. Ów pan Heliasz, jak go Urbanek nazwał, ledwie jeszcze kilkanaście kroków ubieżał, a Tatarowie już za nim. Widzę, jak jeden z nich łyka, to jest powrózki od kulbaki odtracza i już z konia ma zsiadać, pewno aby związać tego biedaczka. Wymierzę dobrze, z całej mocy łuk napnę, puszczę... Furknęła strzała, aż zaświstało powietrze, a ja krzyknę:

– Hajże, hu!

– Hajże, hu! Hu, hu! – krzyknęli teraz wszyscy, a takie straszliwe hukanie uczynili, że aż las zagrzemiał za nami, że ono dziw, jak im się gardła od takiego gwałtu nie pozdierały.

Patrzę za moją strzałą i aż mi serce radośnie zabiło. Ugodziłem dobrze Tatarę; jak mierzyłem w łeb, tak też nie chybiłem, tylko że strzała nie utkwiała w samej głowie, ale przeszła mu twarz pod okiem. Chwycił się Tatarzyn za oczy oburącz, jakby ogłuszony, a towarzysz jego podniósł się na koniu i patrzy, skąd ten łuk i strzelanie. Nie dałem mu długo patrzeć, strzeliłem znowu, a strzała przeszła mu snadź samą rękę, bo tylko strząsnął łapę i położył się na szyi konia, unikając nowej strzały. Ja teraz chwytam za trzecią, ale Tatarowie obaj już uskoczyli i uciekają w pole, że się jeno migają między zbożem, a żaden się nawet nie oglądnie poza siebie.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.